№ 52 Warszawa, dnia 12 (24) Grudnia roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Pod temi samemi co dotąd warunkami, w tym samym formacie, z jedną zawsze illustracyą i z dodatkiem powieściowym, wychodzić będzie **Tygodnik Mód i Powieści** i w roku przyszłym 1882. Upraszamy o wczesne zapisy i dokładne wypisywanie adresów, aby zwłoki i omyłek w odbieraniu Pisma uniknąć.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie przy ulicy **Widok Nr. 3.**

PRZYJACIEL DZIECI.

W przyszłym roku 1882 **Przyjaciel Dzieci** wychodzić będzie w powiększonym formacie ze stałym tygodniowym dodatkiem półarkuszowym dla mniejszych dzieci, i z illustracyą o ile można jak najstaranniej rozwiniętą. Dążność jednak główna pisma, miłej i pożytecznej zabawy, w niczem nie ulegnie zmianie i na szczególnem zawsze będzie baczeniu. W każdym numerze obok innych artykułów mieścić się będą: gawędy naukowe w różnorodnych przedmiotach wiedzy ludzkiej, obrazy historyczne, powieść obszerniejszych rozmiarów, wiersze, powiastki, wierszyki, szarady, łamigłówki i zadania arytmetyczne, a od czasu do czasu dawane będą komedyjki i dramata, oraz podróże i wiadomości z dziedziny wynalazków.

Z prac większego rozmiaru, mamy już przygotowane dwa opowiadania historyczne: *Wyprawa Henryka V na ziemie Bolesława Krzywoustego* i *Opowiadanie z wieku XII o Matusie i Pawliku z Kołoboża.* Po ukończeniu powieści obecnie drukującej się, rozpoczniemy zaraz oryginalnie napisaną p. t. *Elżunia Bohoni* z czasów Maryi Teresy i *Tajemnice oceanu.* Skutkiem tych zmian i ulepszeń cena prenumeracyjna powiększoną zostaje kwartalnie o kop. 25 i wynosić będzie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie . .	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie	**rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Przyjaciela dzieci i Tygodnika Mód i Powieści w Warszawie przy ulicy **Widok Nr. 3.**

MATKA WASHINGTONA.

Przez

Sewerynę Duchińską.

Wielcy mężowie rosną i dojrzewają najczęściej pod czujną opieką znakomitych matek. Określa to po prostu znane przysłowie nasze: jabłko pada niedaleko jabłoni. Łatwo to zresztą wytłomaczyć, wiadomo bowiem jak silnie pierwsze wpływy oddziaływać muszą na giętki umysł dziecka. Tę niezaprzeczoną prawdę uwydatnił p. Jenbert St.-Amand w swych historycznych obrazach. Książka jego nie wyszła dotąd z druku, ale rękojmię jej wartości dają poprzednie prace autora. Pięknie też świadczy za nią ustęp o matce Washingtona, ogłoszony w pismach tutejszych, z powodu stuletniego obchodu zwycięztwa Amerykanów nad Anglikami w r. 1781.

Oto krótki rys życia tej znakomitej matrony.

Mary Bell przyszła na świat w r. 1706, w kolonii angielskiej Wirginii; ojciec jej służył w wojsku, w stopniu pułkownika. Roku 1730 weszła w związki małżeńskie z Augustem Washingtonem, wdowcem po pierwszej żonie, z której zostało dwoje dzieci. Był to jeden z najzamożniejszych plantatorów nad rzeką Potomakiem; rodzina jego osiadła w Ameryce w połowie siedmnastego wieku.

Po trzynastoletniem pożyciu z drugą żoną, umarł August Washington, zostawiwszy wdowie wielki majątek, wraz z opieką nad dziesięciorgiem dziatek.

Młoda jeszcze matka, zrozumiała odrazu wielkość obowiązków swoich. Była to mężna niewiasta w całem słowa znaczeniu, pełna uczuć religijnych i niezłomnej prawości. Umysł miała wyso-

ko ukształcony i praktyczny zarazem, wolę wytrwałą, serce kochające, charakter nieugięty.

Jerzy, urodzony w r. 1732, miał lat jedenaście gdy go ojciec odumarł: był on najstarszym synem z powtórnych związków.

Szkolny towarzysz Jerzego — blizki jego krewny, tak kreśli obraz tej niepospolitej matrony.

„Lękałem się jej, mówi, bardziej niż własnych moich rodziców. Była dobrą do gruntu, mimo to nakazywała poszanowanie, złączone z mimowolną trwogą, i dziś gdy wiek ubielił moje włosy, kiedy jestem ojcem i dziadkiem trzech pokoleń, nie mógłbym ujrzeć tej majestatycznej niewiasty bez wrażenia, którego określić tu nie umiem!”

Dobra ta matka otaczała Jerzego najtroskliwszem staraniem. Nieskora do rad i napomnień, stawiała mu przed oczy najpiękniejszy przykład. Łagodna a energiczna, cierpliwa i wytrwała, pod słodkim uśmiechem kryła żelazną wolę. Tym sposobem wyrobiła charakter w synu; umiała poskromić szostkie i zuchwałe jego popędy, obudzić w sumieniu jego poczucie obowiązku i odpowiedzialności za czyny własne, słowem nauczyła go jak siłą woli zapanować nad sobą, jak znosić zmiany losu, nie oślepnąć w blasku chwały, nie zstąpić z drogi prostej pod siłą przeciwności.

W młodzieńczych latach wpływ matki oddziałał już na przyszłość syna. Piętnastoletni Jerzy pragnął zaciągnąć się do marynarki królewskiej, ale matka stawiła silny opór, oświadczając stanowczo iż powinien żyć w pośród współobywateli amerykańskich, pracować z nimi nad podźwignieniem kraju, służyć mu całą mocą ramienia i całą potęgą inteligencyi jaką otrzymał od Boga. Syn uległ; ta powolność jego przyspieszyła oswobodzenie Ameryki. Gdyby Washinhton został oficerem angielskim, patryotyzm jego byłby skrępowany prawem wojskowego honoru.

Uderzyła wreszcie godzina. Jerzy stanął na czele insurgentów, z niepokojem w duchu, ale bez najmniejszej słabości. Po pierwszych klęskach nie utracił odwagi, nie skarżył się bynajmniej. Pó źniej w dniach tryumfu zachował równy spokój.

Anglicy opanowawszy Nowy Jersej, rozbiegli się po całej prowincyi: Washington stał wtedy obozem za Delawarą.

— Nasi nieprzyjaciele, rzekł do jednego z oficerów, zanadto rozpostarli skrzydła, należy je koniecznie podciąć.

I niebawem przeprawił się przez rzekę i stanowcze odniósł zwycięztwo.

Oznajmiono matce wieść pomyślną: tłumy przybyły jej winszować. Matrona ucieszyła się z powodzenia tak ważnego dla sprawy ojczystej. Gdy obecni jęli podnosić zasługi syna, rysy jej przybrały wyraz powagi.

— Dość już tych pochlebstw, obywatele, rzekła z głębokim spokojem; Jerzy nie zapomni, pewna jestem, rad jakie mu dawałam, pamiętać będzie że jest poprostu obywatelem Stanów Zjednoczonych, któremu Bóg więcej dał szczęścia niźli drugim.

Gdy się dowiedziała o poddaniu Lorda Cornwalis, zapominając że syn jej okrył się sławą, zawołała z najwyższem uniesieniem.

— Bogu niech będzie chwała! Ameryka wolną, pokój zakwitnie znowu!

Od lat siedmiu nie widziała syna, zajętego bezustannie wojną. Kiedy nakoniec rozproszone wojska ściągnęły do Nowego Yorku, Washington pospieszył do Fridrichsburga. Wysłał naprzód gońca do matki z zapytaniem, jak pragnie go przyjąć?

— Przybądź sam, odpowiedziała matrona.

Wówczas to naczelny wódz wojsk amerykańskich, oswobodziciel ojczyzny, sam jeden, pieszo, udał się do domu tej, której, jak mówił, zawdzięczał nietylko życie, ale i chwałę swoją.

Matka przyjęła go z gorącem uczuciem, ale nie wspomniała o czci jaką słusznie go otoczono.

— Nauczyłam go iść drogą cnoty, mawiała później, chwała prostem była następstwem.

Jeśli tkliwa matka chciała powitać sam na sam ukochane swe dziecko, nie zamknęła się przecież w samolubnej radości. Nazajutrz potem wzięła udział w publicznych zabawach. Promieniejąca szczęściem, w całym majestacie prostoty i godności macierzyńskiej ukazała się na balu wyprawionym na cześć syna i jego towarzyszów broni. Przybył na tę uroczystość Jenerał Lafayette; pragnął przed odjazdem do Francyi pożegnać drogiego sercu przyjaciela i złożyć hołd jego czcigodnej matce.

Gdy matrona weszła do sali balowej, wsparta na ramieniu bohatera Ameryki, w starodawnym stroju Wirginianek, wszyscy obecni pochylili czoło z poszanowaniem, łzy w niejednem zabłysły oku.

— Dni zabawy, dawno już dla mnie przeszły, rzekła wesoło, ale szczęśliwą jestem, że mogę wziąć udział w powszechnej radości.

Wobec składanych jej hołdów, zachowała zwykłą prostotę. Gdy zegar uderzył dziewiątą, wstała z miejsca i pokłoniła się obecnym.

— Odprowadź mnie, rzekła do syna,—dziewiąta bije, starym czas już do domu.

Obecni temu Francuzi, nie mogli nadziwić się dosyć tak wielkiej prostocie. Patrząc na wychodzącą szeptali do siebie:

— Teraz pojmujemy, że takie matki muszą dawać ojczyźnie podobnych sobie synów.

Kiedy Lafayette odwiedził ją, pracowała w ogrodzie ubrana bardzo skromnie, w grubem słomianym kapeluszu. Odwiedziny te wcale jej nie zmieszały, przeprosiła grzecznie gościa, że przyjmuje go w tak prostej odzieży.

— Widziszbardzo starą kobietę, rzekła z uśmiechem, ale przyjmuję cię serdecznie w moim dommu i nie chcę dla czczej ceremonii przebierać się w świąteczne suknie.

Lafayette z grzecznością francuzką podziękował za ten dowód ufności; mówił potem o Washingtonie, jako szczery wielbiciel. Matrona słuchała tych pochwał dość obojętnie.

— Pan jesteś nazbyt łaskaw, odrzekła z prostotą, ale nie dziwię się temu, co mówisz mi o Jerzym; był to zawsze bardzo poczciwy chłopiec.

Lafayette odchodząc, skłonił kolano przed czcigodną matroną, pochylił przed nią głowę, z prośbą aby go pobłogosławiła jak syna.

Świetne związki małżeńskie Washingtona postawiły go w rzędzie najbogatszych obywateli Stanów Zjednoczonych. Usiłował wówczas skłonić matkę, aby zamieszkała z nim w Monat Vernon. Ona przecież pozostała do końca w Fridrichsburgu, prowadziła pilnie gospodarstwo w niewielkiej wiosce, którą zachowała, rozdawszy majątek między dzieci. W ośmdziesiątym trzecim roku, co rano objeżdżała konno swoje pola i wydawała rozkazy. Dochody, lubo skromne, dzięki jednak rządnej oszczędności, pozwalały jej wspierać hojnie ubogich. Nie jeden sąsiad zrujnowany wojną, udawał się do jej wspaniałomyślności: opatrywała wszystkich najchętniej. „Miłość bliźniego, mawiała, znajdzie zawsze coś na dnie w worku, jeśli w nim nie ma dziury!”

W ostatnich latach, z powodu dotkliwej choroby raka, nie opuszczała wcale domu, ale i wtedy jeszcze zarządzała majątkiem. Zięć jej, półkownik Lewis, pragnął ją w tem wyręczyć.

— Dzięki ci, rzekła, skoro chcesz, oddam ci rachunki gospodarskie: twoje oczy lepsze od moich. Nad resztą ja sama czuwać będę.

W dniu 30 kwietnia 1789 roku jenerał Washington wybrany został na prezydenta nowej rzeczypospolitej. Przybył do starej matki po błogosławieństwo.

— Lud powołał mnie — rzekł do niej, na pierwszego urzędnika Stanów Zjednoczonych; przybywam zatem, aby cię pożegnać, droga matko. Gdy spełnię obowiązki moje, ujrzysz mnie znowu w Wirginii.

— Już mnie tu nie zastaniesz, synu, odrzekła spokojnie, ale idź, drogi mój Jerzy, spełnij powinność swoją. Niech łaska Boża stale ci towarzyszy.

I pochwyciła go w objęcia. Prezydent przycisnął głowę do macierzystej piersi; ona wyschłą ręką pieściła włos jego posiwiały. Płakali oboje: syn nie mógł wyrwać się z ostatniego uścisku. Bohaterska matka pierwsza odzyskała zwykłą spokojność.

Przeczucia nie zawiodły jej; umarła wkrótce potem, w ośmdziesiątym piątym roku życia.

„W ostatnich dniach, pisze biograf amerykański, mówiła często o swym Jerzym, niegdy o sławnym jenerale. Skonała polecając Bogu ojczyznę i ukochanego syna.

Zgodnie z ostatnią jej wolą, pochowano ją na cmentarzu fridrichsburgskim. Od młodości nie lubiła gwaru wielkich miast, cisza wiejska wobec pięknej przyrody, rądowała jej serce, zaspakajała umysł. Na wsi czuła się bliżej Boga. W ostatnich latach lubiła wychodzić sama w pole, albo do groty w ogrodzie, ocienionej drzewami. Tam rozmyślała w spokoju; te samotne modlitwy nazywała rozmową z Bogiem. Ukrzepiona, wracała do zwykłych obowiązków.

W wiele lat potem, 7 maja 1833 roku, jenerał Jackson, wówczas prezydent Stanów Zjednoczonych, przybył do Fridrichsburga na uroczystą inaugurацyą pomnika, wzniesionego na jej grobowcu. Jest to obelisk wysoki na 45 stóp, ozdobiony w górze popiersiem Washingtona. Orzeł amerykański trzyma wieniec nad bohatera głową. Wyryty poniżej napis, godzien jest pamięci tej, którą słusznie nazwano *Spartanką chrześciańską*. Napis ten zawarty w krótkich słowach: *Mary, matce Washingtona*.

Słowa Jacksona wypowiedziane wobec ludu, podniosły znaczenie tak skromnego napisu:

„Niepodobna było, rzekł prezydent, skreślić na kamieniu wyższej pochwały. Ona głęboko poruszy każde uczciwe serce! Matka i syn, wyżsi nad oklask tłumów, ale wielki przykład ich cnotliwego żywota, ich wzniosłości moralnej, musi wywrzeć zbawienny wpływ na współczesnych. Niech ten przykład obecnym będzie myśli naszej, niech prowadzi pierwsze kroki dziatwy na drodze życia. Niech w przyszłości wnukowie nasi przychodzą tu pielgrzymką, niech dotykając ręką obelisku, wspominają tę, której pokrywa szczątki; niechaj odchodząc ztąd, podniesieni w uczuciach, umocnieni w wierze i pobożności, wołają o błogosławieństwo niebios, nad matką Washingtona!

Przestań wątpić!...

(Do W. G.)

Powiedz, proszę, moja młoda,
Zkąd ci żal ten taki smętny?
Szkoda smutku i łez szkoda,
Gdy świat taki obojętny!
On zabawy zbytnio ceni —
I wesołość pragnie szerzyć,
Lecz twych cierpień nie odmieni,
I nie zechce łzom uwierzyć!...

* * *

Przestań smucić się daremnie,
Łzawem okiem przestań mierzyć —
Przestań wątpić i nie wierzyć,
Gdy wokoło tak przyjemnie!
Gdy są jeszcze wielkie serca,
Co nie olśni ich mamona,
Co przytulą cię do łona —
I nie zranią jak szyderca!...

* * *

Bo jest jeszcze na tym świecie
Wiara w miłość, wiara w cnotę —
I w czarowne uczuć kwiecie...
I w marzenia szczęścia złote!...
Szczęście, szczęście... jego chwilki, —
Trzeba łapać najgoręcej...
Bo ulecą jak motylki,
I nie zechcą wrócić więcej!...

* * *

Niech ten duma o przeszłości,
Kto się zbliża ku mogile,
Ty korzystaj z swej młodości —
Bo przed tobą szczęścia tyle!...
A gdy pójdziesz prawą drogą —
Ocierając łzy niedoli,
To ci życie zbiegnie błogo,
I serduszko nie zaboli!

Kazimierz Lechnicki.

Dubno.

PESTALOZZI
jako
człowiek i pedagog.

Skreślił

Wiktor Czajewski.

(Dokończenie.)

Oto co o tych wypadkach pisze Pestalozzi do Gesnera:

„Wszedłem w jedną z najgłębszych przepaści, abym się mógł zbliżyć do celu mego — i dopiąłem zamiaru, lecz wyobraź sobie, jeśli możesz stan mój... sam jeden, pozbawiony wszelkiej pomocy... sam dyrektor... sam kasyer... sam sługa.. sam sobie wreszcie gospodyni. Dom opuszczony, otoczony chorobami różnego rodzaju.“

Szkoła w Stantz rzeczywiście w krótkim bardzo czasie zaczęła kwitnąć... uczniowie okazywali ogromne postępy, a stan ich umysłowy najlepiej świadczył o usiłowaniach starego nauczyciela i jużby wszystko szło dobrze, gdyby nie wpadnięcie Austryaków do małych kantonów naraz położyło koniec wszystkim jego zabiegom.

Zmuszony opuścić Stantz, znękany przeciwnościami życia, stał się igrzyskiem uszczypliwych pedagogów, którzy znienawidzili go, za ironiczne traktowanie dawnej metody.

Głośno wołano na jego niestałość, na niezdolność uskutecznienia najdrobniejszego zamiaru...

Zniechęcony temi nawoływaniami, schorowany i bezsilny, opuścił te strony i udał się do wód w Gurnicle, położonych o parę mil od Berny.

Wyleczywszy się i odpocząwszy tu nieco, przez przychylnych swoich stronników, raz jeszcze otrzymał zarząd niewielkiej szkółki w Berthoud.

Rząd Helwetów ze swojej strony nie przestawał się zajmować losem jego i wyznaczył mu roczną pensyę 40 luis.

Usiłowania Pestalozzego wkrótce ziednały okrzyk i przyklask jego metodzie zwłaszcza zamek w Berthoud został oddany młodemu Fischerowi, który miał polecone założyć tam seminaryum nauczycielskie. Przedwczesna i nagła śmierć nowego dyrektora nie pozwoliła mu tych zamiarów doprowadzić do skutku. Rząd bez wahania, widząc jedynie Pestalozzego zdolnym do tej czynności, zamianował go dyrektorem tego zakładu.

Odtąd zaczyna się świeża a razem i ostatnia epoka w życiu naszego starca.

Tu polecono mu kształcić ludzi, którzy mieli zająć to stanowisko, jakie on dotąd zajmował.

Sędziwy starzec nie obawiał się pracy i wraz i Kursim, Toblerem i Bussem zabrał się dzielnie i energicznie do rzeczy, aby z pod opieki swojej wypuścić ludzi prawdziwie zdolnych i zamiłowanych. Z pewnością materyał nowy musiał być giętki i lepki i niemałe potem oddał usługi całemu szwajcarskiemu społeczeństwu.

Odtąd metoda poglądowa stała się pierwszy raz może tak rozpowszechnioną.

Nie mógł jednak starzec i tu zapomnieć o biednych sierotach. Raz jeszcze w życiu będąc właścicielem skromnej pensyjki i posiadaczem 40 luis rocznej nagrody rządowej — założył pod bokiem pensyą a z nią podwaliny pierwszemu nauczycielskiemu seminaryum, gdzie wraz z liczbą przybranych na własny koszt ubogich dzieci prowadził szkolne ćwiczenia.

Widząc to rząd, podniósł mu owę pensyę ze 40 do 100 luis — a oprócz tego nadał przywilej na druk jego elementarzy, zaprowadzonych teraz we wszystkich początkowych szkołach szwajcarskich. Przywilej ten nadawał mu prawa aż do 10-ciu lat po jego śmierci korzystania z postanowienia w nim zawartego. Oprócz tego, zapewnił płacę dla dwóch jego pomocników po 25 luis.

Zdawało się że już wszystko pójdzie dalej pomyślnie — a jednak pamiętne wypadki we wrześniu i październiku 1802 r. wstrzymały te ostatnie jego usiłowania. Deputowani na sejm 1803 roku nie mieli polecenia przemawiać o instytucie nauczycielskim; ci zaś co mogli przemówić za nim, musieli tylko poprzestać na pobieżnej wzmiance za utrzymaniem tak pożytecznego zakładu, o zachowaniu zaś nadzorcy i dyrektora nie można było nic wszczynać tym razem.

Pestalozzi zmuszony był opuścić go i odsunąć się już na zawsze.

Pożegnał więc stary zamek, rozpuścił szkółkę— i osiadł w zaciszu.

Tęskniący starzec już nic nie robił — a z tęsknych tych chwil pozostało sto kilkadziesiąt aforyzmów, w które wlał swoję długoletnią praktykę i naukę całego życia.

„Abendstunde eines Einsidlers” czyli „Wieczorne godziny pustelnika”—jest to zbiór luźnych myśli, wypowiedzianych zwięźle i z niesłychaną prostotą.

Ażeby dać poznać choć w części tę literacką, a raczej filozoficzną pracę zgrzybiałego starca, przytoczę kilka jego aforyzmów w przekładzie:

1. Człowiek, bądź siedzący na tronie, bądź też kryjący się pod cieniem zielonej altany, w swej istocie czemże jest? Czemuż nie powiedzą nam tego mędrcy? Dlaczego nie odgadną ducha jego istoty? Wieśniak bada swojego wołu, aby go poznać i wedle tego obuczać; czyż nie zna pastuch natury swojej owcy?”

25. Wykształcenie człowieka dążącego do prawdy jest wykształceniem jego istoty i jego natury do zbadania mądrości.

36. Człowieku, jeżeli badasz prawdę w tym porządku natury, to znajdziesz ją — jak sobie tego życzysz dla swojego stanowiska i dla swojej drogi życia.

37. Tak, ona jest potrzebną dla twojego spoczynku i dla twojego spokoju o człowiecze! — tak, ona jest pewną gwiazdą przewodniczą w twych najbliżej obchodzących cię sprawach — tak, ona jest tarczą na której twe życie spoczywa — tak, ona jest dla ciebie podporą twego życia.

38. Ty nie jesteś w stanie na drodze twego życia całą prawdę wyczerpnąć, ale możesz żyć w pełni swego ducha.

* * *

45. Rozproszony haos wielkiej wiedzy wytwarza haos w myśli!

46. Człowiek, który łatwym polotem każdą wiedzę ogarnia i nie przez ściśle użycie swojego rozumu wzmacnia, ten traci spokojny, uważny i ścisły pogląd i poczucie prawdy.

53. Powinien się też człowiek kształcić, aby uzyskał wewnętrzny spokój, zadowolnienie swojem mieniem, swemi potrzebami, co osiągnąć może swą wiarą, swoją miłością — całą ludzkość ogarniającą.

55. Spokój i ciche używanie są pierwszemi celami wykształcenia człowieka i rękojmią szczęścia całego żywota.

56. Człowiecze! twa wiedza i twa żądza sławy muszą być miarkowana tym wielkim celom — w innym razie żądza wiedzy i sławy będzie dla ciebie niepokojem.

Co się tyczy samych aforyzmów Pestalozzego, to te nie potrzebują — zdaje mi się — żadnego objaśnienia, gdyż nie byłbym w stanie też same myśli ani lepiej, ani jaśniej wypowiedzieć. One dają nam do reszty poznać charakter i usposobienie tego człowieka.

Widzieliśmy go już jako pedagoga i prawdziwego dobroczyńcę, który poświęcił wszystko dla swojej ojczyzny, dla dobra społecznego.

Czasy w jakich on występuje, są najstraszniejsze dla Szwajcaryi. Zniszczona wędrówkami wojsk i licznemi bataljami, traci cały swój majątek. Mnóstwo i tak niebogatych ludzi, zostaje bez dachu i kawałka chleba.

Straszne to i bolesne przejścia. Nędza jest narzędziem upadku fizycznego i moralnego człowieka. Po wojnach musiało to dziać się i w Szwajcaryi.

Wychowanie więc choćby pięćdziesięciu ludzi z silnemi zasadami, było bardzo pożytecznym i szlachetnym czynem.

Ale nietylko w tych czasach, pełnych rozlewu krwi i pożogi, czyn Pestalozzego jest godnym

uwagi i naśladownictwa. Wyprzeć się samego siebie, majątku, wolności, narazić się na nieprzewidziane, a jednak tak częste przykre zajścia i szemrania ogółu, a nawet szykany, to nie każdy człowiek potrafi.

To też Pestalozzi, chociaż nie był geniuszem, jednakże zasługuje na ogólny szacunek i uznanie wszystkich narodów. W swej pracy mozolnej nauczył on innych wytrwałości i wskazał drogę, gdzie powinno społeczeństwo szukać swej siły i potęgi i gdzie właśnie jest ten punkt ciężkości dobrobytu społecznego.

Metoda pedagogiczna (poglądowa) Pestalozzego do dziśdnia i jeszcze na długo może będzie świeżą i pełną siły, będzie jedyną, do której uczciwy pedagog i nauczyciel szkół ludowych, jak również każda matka, pragnąca rozwinąć należycie umysł dziecięcy, odwoływać się musi, gdyż oparte badania na przyrodzeniu, właściwem człowiekowi, to jest na darze spostrzegawczym, zawodzić nie mogą.

Rozwinięcie młodego umysłu, zmuszenie go do myślenia i kombinowania, niezawodnie będzie najlepszym środkiem i najpierwszym warunkiem rozwoju.

Frazeologia, jak również te bezrozumne nauczanie dziecka pamięciowych przedmiotów, jest rzeczą czczą i bezzasadną. Pamięć sama nie jest w stanie nikogo rozwinąć.

P. Baudlin w swojej rozprawce pod tytułem: *Pestalozzi seine Zait, seine Schicksale und seine Wirken*, wydanej w Szafchauzie 1843 roku, tak wyraża się o Pestalozzim i jego metodzie nauczania:

„Mąż ten niezaprzeczenie genialny pełen prawego poczucia i prostoty, całe życie poniósł usłudze zacnej idei, *która nim owładnęła.*

Idea ta była jedynie oparta na zasadach wychowania domowego, na podniesieniu człowieka w stanowisku moralnem i umysłowem.

Przedewszystkiem interesowały go klasy uboższe.

Łożył więc wszystko na ugruntowanie metody naukowej, mającej rozwijać młodzieńcze umysły w sposób naturalny postępem bez przerwy, za pomocą naocznego zapatrywania się na wszystkie główniejsze gałęzie wiedzy ludzkiej.

Mniej sposobny, niezaprzeczenie, był Pestalozzi na nauczyciela lub przełożonego zakładu. Umysł jego, czy to wskutek kolei, które przechodził, czy to z innej przyczyny, *stawał się co raz doskonalszym*, lecz coraz więcej burzliwego usposobienia, tak iż w późnej starości przychodziły na niego prawie chwile obłąkania, które, gdy mijały, znów pozostawał człowiek z najbystrzejszym poglądem na świat, i chociaż nie zostawił dobrze wykształconego młodego pokolenia, to przynajmniej oddziałał wielce na ludzi, którzy tem lepiej potrafili władać, przejąwszy główne podstawy od niego.

Pestalozzi zostawił dobrych nauczycieli. Słowa p. Baudlina najlepiej nas mogą poinformować i najlepszem pozostać świadectwem. Jednakże p. Baudlin nie zastanawiał się bardzo nad całem usposobieniem człowieka. A jednak dziś i zawsze to będzie, że każdy pedagog przez długoletnie obcowanie z dziećmi, staje się albo nieznośnym zdenerwowanym starcem, albo zdziecinnieje.

Szkoła Pestalozzego nie odznaczała się zbyt doborowemi dziećmi, nic więc dziwnego, że przez ciągłe obcowanie z niemi zdziecinniał, a raczej zdenerwowany starzec zapadał w chwile szału i obłąkania. Niezawodnie czuł on więcej niż inni, a niemało przyczyniły się do jego stanu zdrowia przejścia, przez jakie przechodziła wówczas Szwajcarya.

To też i dalsze aforyzmy stają się słabsze, odbija się w nich fizyczne i moralne cierpienie starca, a zamiast prawd wypowiedzianych w pierwszych aforyzmach, znajdujemy tu rzeczy powszechnie już znane, które powtarza nie mogąc się zdobyć na inne.

Znać już że umysł pragnie wypoczynku i ma się ku schyłkowi.

Ażeby tem gruntowniej upewnić czytelnika, przytoczę tu jeszcze parę aforyzmów i tak:

94. Bóg jest ojcem ludzkości — Bóg jest nieśmiertelny. (Wyjątek z katechizmu).

135. Grzech jest źródłem i następstwem niewiary. (Zdania kołatające się oddawna w postyllach).

175. Opieram — mówi on — radość na sprawiedliwości, ale nie widzę w tym świecie żadnej pewnej sprawiedliwości, aż do prostoty. Nabożność i miłość łączy się z sobą — w tem usposobieniu oświecają ludzkość.

180. Chrystus, który cierpieniem i zgonem człowieczeństwo od ogólnego upadku i grzechu pierworodnego uratował i przed Bogiem nanowo postawił, jest Zbawicielem świata, *On jest pośredniczącym kapłanem z Bogiem* a całą ludzkością. Jego nauka jest sprawiedliwem prawem; najrozumniejsza ludowa filozofia.

Oto takie myśli snuje na starość w swej celi ów silny, ów dzielny Pestalozzi, nie wiedząc, że powtarza cudze; umysł jego słabnie i nie tworzy już tak pięknych rzeczy, jakie na czele aforyzmów znaleźliśmy.

Późniejsze są, już daleko wznioślejsze, jak aforyzm 168 — gdzie powiada:

„Przeto iż człowieczeństwo w Boga wierzy — spoczywam w tej chacie..." Lub też 166.

„O moja celo! raduj się, gdyż ty jesteś następstwem tej wiary."

Pestalozzi, pisząc te ostatnie tu przytoczone aforyzmy, skreślił w nich cały wywód pracy swego duchu, ów szczyt mądrości ludzkiej, znalezienia szczęścia w samym sobie.

Jakże te aforyzmy różnią się od aforyzmów pierwszych, gdzie mówi:

3. Czem człowiek jest? Co mu potrzeba, co go podnosi, poniża, posila i osłabia? Człowiek jest pyłkiem z przedwieczną myślą Bożą, podnosi go pamięć o tem, poniża brak jej, a osłabia niedostatek *pasterzy ludu i ludzi w najuboższych chatach.*

4. Jakkolwiek *poczuwa człowiek to* wszystko z trudem jednak i pracą, prawdy te sobie przyswaja.

„Dlaczego człowiek bada prawdę bez porządku należytego? Dlaczego bada nie wedle potrzeby swojej natury, na którem badaniu możnaby oprzeć pewną korzyść i błogosławieństwo swego życia? Dlaczego nie szuka on prawdy, któraby go wewnątrz zaspokoiła, któraby swą siłę wyswobodziła, dni jego wypogodziła i ukwieciła je spokojem?

Kończąc te krótką wzmiankę o Pestalozzim przedstawiłem czytelnikowi dążności i usiłowania tego człowieka.

Jako pedagog niezgaśnie on nigdy, albowiem zajął na kartach wychowawczych, kto wie, czy nie pierwszą stronicę. Jako człowiek niech służy przykładem wszystkim filantropom wszystkich społeczeństw.

W pracy swojej położył kamień węgielny tam gdzie rzeczywiście fundament społeczny ma spocząć!

Oświata niższej warstwy społecznej, rozpowszechnienie nauki racyonalnej może tylko zapewnić dobrobyt materyalny a z nim i świetne stanowisko moralne każdemu społeczeństwu.

Ażeby to nastąpiło, trzeba wpierw *pasterzy ludu i ludzi w chatach.*

Nie nabędziemy ich wpierw póki oświata nie znajdzie takich pedagogów, takich nauczycieli, takich koryfeuszów, jakim był Pestalozzi.

A nie jest ich wiele! Od czasu Pestalozzego nie znalazł się drugi z podobnem mu poświęceniem człowiek. Bo czyż to mało zabiegów przy takiej pracy? Czyż mało poświęcenia? Wobec mozołów i niedostatku, jakieśmy to już widzieli, spędził on całe życie, prześladowany od zawistnych kolegów, wyszydzany przez ludzi nierozsądnych i nie mogących zrozumieć tego poświęcenia, wreszcie zapomniany, a może nawet z niewdzięcznością wspominany przez małych i nierozsądnych, bez wychowania pozostających uczniów. Walczył on cierpliwie, jedynie za ideę własną świętą i sprawiedliwą, walczył, bo wiedział że się nie myli.

To też starość była mu ciężką; wśród mozolnej pracy umysł zdziecinniał, a niedostatek zakończył wreszcie granicę wdzięczności współziomków za tyle wzniosłych czynów i poświęceń, okupionych własnym majątkiem, pracą swoją i wyparciem się siebie. Zmarł prawie w nędzy dnia 17 lutego 1825 roku w Brugg, licząc lat ośmdziesiąt jeden a sześćdziesiąt trzy ciągłej pracy dla dobra społecznego.

Nie poznano się na nim za życia i dopiero po stracie oceniło społeczeństwo doniosłość tego człowieka.

To też całe Niemcy stuletnią rocznicę urodzin Pestalozzego obchodziły uroczyście.

Dzień 12 stycznia 1846 roku, był to dzień rzadki w dziejach narodu!

Uroczystość cała zmieniła się w jeden ogólny festyn ludowy.

Bo też mieli się czego i cieszyć Niemcy mając takiego przedstawiciela swojej oświaty — oświaty doprowadzonej dziś już do tego stopnia, że każda prawie jednostka umie czytać.

Kiedyż my zaliczymy się do tych szczęśliwych?

Rzucam w świat tę kartkę papieru — może matki i nauczyciele przynajmniej zmusicie się do przeczytania tej niebardzo zajmującej i barwnej powieści.

A jeśli każda matka wychowa uczciwie i w tym duchu tylko jednego syna, a każdy nauczyciel tylko pięciu uczni — ileż to światu, a raczej krajowi przybędzie ludzi dzielnych! Może niejeden pójdzie wskazaną mu przez szlachetnego człowieka drogą — a wtedy doczekamy się niezawodnie dzielnego przewodnika ludu, wielkiego obywatela i silnego organizatora pracy u podstaw.

W Warszawie w październiku 1881 r.

ZBRODNIARZ W CHATOUS.

Przez

JERZEGO PRICE.

(Dalszy ciąg.)

Źle bardzo spałem. Całą noc przed oczyma memi wielkie liczby wywijały szalone farandole przy dźwiękach orkiestry pod dyrekcyą już to wyśpiarza, już jakiegoś potomka Cyda wybijającego takt na olbrzymim *Roczniku adresów Bottin'a.* Wstałem przed siódmą. Tautin, który zwykle wstawał bardzo rano, siedział w ogródku z cygarem w ustach, i czekając na mnie, dla zabicia czasu, obliczał za pomocą teodolitu, dokładną wysokość wzgórz Cormeil.

— Aha! krzyknął, zobaczywszy mnie otwierającego okno, z ociężałą głową i zaczerwienionemi powiekami, — aha! widać jak cię żywo zajęła ta sprawa, paryżaninie, kiedyś się zerwał tak rano!... Zejdź proszę do sali jadalnej, napijemy się dobrej herbaty ze smacznemi ciastkami i zakąsimy wyborną szynką i świeżutkiem masłem.

Parę minut po dziewiątej siedzieliśmy już w wagonie; gdyśmy przybyli do Rueil, Tautin rzekł mi:

— Najpierw wyprawmy telegram do Ryszarda, aby ci do mnie przywiózł rzeczy, oraz żeby zabrał także tłomoczek podróżny, który pewnie będzie mu potrzebny.

— A!... ale na co i dlaczego?

— Powiem ci później, zrób co mówię.

Wszyscy taką pokładaliśmy ufność w Tomixie i jego rozumowaniach, że i ja też nie pytając spełniłem jego polecenie.

— A teraz do dzieła! zawołał wychodząc z biura telegraficznego

Obydwa znaliśmy doskonale Rueil. Najpierw udaliśmy się do kawiarni Bordin'a; ale tam nie posiadano Bottin'a; właściciel powiedział nam to nic nie dodając — poszliśmy dalej.

Nareszcie w czwartym z kolei podobnym zakładzie właściciel rzekł do nas:

— Nie mam go, ale muszę sprowadzić; już i wczoraj ktoś go żądał.

— Aha! rzekł Tomix zwracając się do mnie, pewnie to był nasz przyjaciel Pontravel, który wszędzie szuka mego adresu... Poczem zapytał właściciela:

— Pewnie był to mocny brunet, wyraźny typ południowca?

— O, przeciwnie; był to piękny mężczyzna, blondyn, wyglądający na Anglika. Zdawało mi się, iż był bardzo niezadowolniony, że nie znalazł Bottin'a.

— A! więc to nie był Pontravel, dziękuję panu.

— Otóż widzisz, rzekł do mnie Tomix gdyśmy wyszli z kawiarni, mamy już nitkę po której dojdziemy do kłębka. Jest jeszcze kawiarnia Sonis obok stacyi tramwajów, pójdźmy do niej.

Gdyśmy weszli do tego zakładu, podbiegł ku nam młodzieniec elegancko ubrany, i skłonił mi się mówiąc:

— Dzieńdobry, panie Marceli.

— Ach! to ty Pawle, pamiętam cię małym bębnem, gdyś odjeżdżał stąd do szkół do Sens.

— Tak, panie, ja Paweł Sonis, w mej własnej osobie.

— I na stały pobyt powróciłeś pod rodzinną strzechę?

— Tak panie, zdałem egzamin na wydziale prawnym ze stopniem licencyata.

— Winszuję ci szczerze; proszę bądź tak dobry każ nam podać butelkę madery i Rocznik Bottin'a.

— No, rzekł do mnie Tomix, gdy Sonis się oddalił, jeźli synowie trzymających kawiarnie będą adwokatami, cóż ci poczną z sobą?

— Będą otrzymywać teki ministeryalne, odpowiedziałem.

Młody Sonis powrócił przynosząc sam cośmy żądali.

— Proszę powiedzieć mi, czy nie był tu wczoraj pewien pan zapytujący o adres pana Mallet z Bougival, spytał Tomix.

— Nie, panie.

— Szczególna rzecz! Czy wiesz, dodał zwracając się do mnie, że ten oryginał Brown, który dopiero parę dni temu, powrócił z Ameryki, szuka wszędzie dokładnego adresu przyjaciela naszego Mallet'a, który ma fabrykę w Bougival?

— Pana Jerzego Mallet, właściciela zakładu wytworów chemicznych? zapytał Paweł.

— Wysoki, blondyn, odrazu poznać w nim można Anglika.

— Tak, tak... wczoraj właśnie był tu jakiś pan wyglądający jak pan opisał: blondyn wysoki, z wąsikami, mówiący z akcentem angielskim.

— Jak był ubrany?

— Miał na sobie cały garnitur ciemno brązowy w kratę. Otóż on właśnie zażądał Bottin'a.

— To on, nie ma wątpliwości. No, zdaje się, że teraz zna już adres Mallet'a, nie jest znów tak narwany jak go posądzałem.

To powiedziawszy, Tomix zaczął starannie szukać niby czegoś w „Roczniku". W kilka minut później opuściliśmy kawiarnię Sonis'a, życząc synowi jego świetnego powodzenia w zawodzie prawnym.

Udaliśmy się prosto na dworzec kolei; tam wsiadłszy do odchodzącego pociągu za kwadrans byliśmy w Chatous.

— Kochany Marceli, jesteśmy tedy na tropie, gdyż teraz doskonale przypominam sobie, że mój towarzysz podróży miał właśnie na sobie taki garnitur w kratę, jak nam opisał Sonis. Musimy go więc odszukać, rzekł Tomix.

— Ale zkądże wnosisz że go znajdziemy w Chatous?

— Najpierw, wysiadł na tej stacyi.

— To jeszcze niczego nie dowodzi.

— Masz słuszność. Ale nie ma pewnie człowieka, któryby odebrawszy list tak ważny nie potrzebował głęboko zastanowiać się nad nim — a gdzież można znaleźć odpowiedniejsze do tego miejsce, jak w własnym domu. To też i ten Anglik musiał niezwłocznie udać się do siebie, a z tego wynika, że mieszka w Chatous.

— Ależ Chatous jest dość rozległem miastem, a stacya ta prowadzi zarówno do Chatous jak do Croissy? odpowiedziałem.

— To też nie mówię, że już go mamy, ale mając opis tak dokładny, niepodobna prawie abyśmy go nie odszukali w prowincyonalnem mieście gdzie wszyscy niemal się znają. Trzeba tylko cierpliwości.

— Ciekawy jestem, jakich użyjesz do tego sposobów? O ile wiem nie przysługują ci przywileje ajentów policyjnych, dodałem śmiejąc się.

— Cierpliwości, odrzekł, zaraz zobaczysz.

Wysiadłszy z wogonu, zwrócił się do konduktora odbierającego bilety.

— Wczoraj, powracałem z Paryża, rzekł, i w jednym ze mną wagonie siedział jakiś pan, wysoki blądyn, z wąsami, wyglądający na Anglika; miał na sobie ciemny garnitur w czarną kratę, i wysiadł na tej stacyi. Zaraz potem znalazłem pugilares, który on pewnie zgubił — chciałbym mu go oddać. Czy nie wie pan kto to i czy mieszka z Chatous?

— Widuję często jakiegoś pana podobnego do tego opisu, ale nie wiem kto on jest i gdzie mieszka. Zazwyczaj wysiadłszy z wagonu zwraca się na lewo ku wybrzeżom Sekwany, zdaje się więc, że musi mieszkać w tamtej stronie.

— Dziękuję panu.

— Teraz, rzekł do mnie Tautin, będziem zadawać to samo pytanie w sklepach i sklepikach znajdujących się w tym kierunku. Chodźmy.

Nie będę opisywał szczegółowo tej mozolnej naszej wyprawy; obszedłszy bezowocnie sklepy korzenne, owocarnie, piekarzy i rzeźników, natrafiliśmy wreszcie na przewoźnika przy promie, który nam powiedział:

— Jest to pan Stefan Wild; mieszka przy ulicy Colifichet, pod N-rem 1. Widziałem go wczoraj wracającego od kolei, w oznaczonej przez pana godzinie.

— Otóż go mamy! zawołał Tautin; teraz chodźmy na śniadanie.

II.

W pół godziny potem siedzieliśmy przy stole w osobnym gabinecie w restauracyi Fournaise, zajadając wytworne śniadanie. Tautin trzymał się tej zasady, aby nigdy przy jedzeniu nie mówić o ważnych sprawach, twierdząc że zwracanie uwagi na ocenianie i zjadanie potraw krzywdę czyni mózgowi, który nie działa wtedy w całej pełni, co nie dozwala nam ani dobrze myśléć ani dobrze jeść — kiedy przeciwnie, po jedzeniu, organ intelektualny wzmocniony początkowaniem asymilacyi, wypoczęty, spokojny, może rozmyślać głęboko i staje się zdolnym do rozstrzygania najzawilszych trudności. Długa wycieczka zaostrzyła nasz apetyt, to też zajadaliśmy smacznie nie mówiąc o niczem, jak o spożywanych potrawach, nic a nic nie myśląc o metafizyce. Tak przeszło trzy kwadranse; potem dopiero gdy garsoon podał nam czarną kawę, Tomix dał mi wyborne cygaro, rozparł się wygodnie w fotelu, i rzekł puszczając kłąb dymu:

— No, teraz do interesu!

Zacząłem słuchać przybrawszy poważną minę.

— Wiemy kto *on* jest, ale nie wiemy kto jest *ten drugi*; znamy zbrodniarza, nie znamy jego ofiary, rzekł Tautin.

— Wydajesz wyrok bez sądu.

— Oszczędzam próżnych słów. Otóż chcąc ocalić ofiarę, pierwszym warunkiem jest: dowiedzieć się kto nią jest; — otóż jakie mamy do tego wskazówki:

1. Osoba wskazana literą H musi być bardzo dobrze znaną i zostawać w nader ścisłych stosunkach z Wildem. Wszak pojmujesz?

— No! tak; bo gdyby nie przewidywał że może wejść do niego w każdej chwili, kazałby list adresować do domu: nie otaczając się takiemi środkami ostrożności, i nie odbierałby listów kryptograficznie pisanych, w ten sposób, aby je można było czytać za domem.

— Oho! jakież nagłe robisz postępy! zawołał.

— Nic dziwnego, korzystam z twoich nauk.

— Trzeba nam więc szukać ofiary w kółku naj-

bliższych przyjaciół i znajomych sir Stefana Wild.

2. Ponieważ jak wiemy już, korespondent nasz nie jest Hiszpanem, więc posługiwanie się tym językiem jest jedynie wynikiem najwyrafinowańszej przezorności. Widać że osoba wzmiankowana w liście zna język angielski, a nie hiszpański. A uważ tylko że przezorność ta nie była próżną, bo gdybym nie posiadał języka hiszpańskiego, nawet odnalazłszy klucz skrytopisma, niebym nie wywnioskował z tak dziwacznej zbieraniny liter.

„Menestertodochdisptaanteochod” i pewnym będąc żem się omylił, szukałbym daremnie wytłomaczenia. Wiemy tedy że tem X jest ktoś prawie domowy u sir Stefana, i że zapewnie mówi językiem Szekspira, ale nie zna mowy Cerwantesa.

— Cóż więc mamy robić?

— Wracać do mnie.

— Co?... powiedziałeś...

— Że trzeba wracać do Le Pecq, gdzie pewnie przybył już twój służący — chyba że wolisz sam przebrać się za lokaja aby wybadać służbę pana Wilda, gdyż jest to jedyny sposób zadobycia dobrych objaśnień.

— Idź do licha! z twoją propozycyą!

— Nie chcesz! — więc wracajmy do Pecq.

— Zgoda.

W drodze Tomix nauczył mnie co mam robić, i oto jaką miałem rozmowę z wiernym moim służącym.

— Ryszardzie!

— Słucham pnie prucznika.

Miało to znaczyć: panie poruczniku. Był to także rodzaj kryptomówstwa, właściwy Ryszardowi. Potrafiłem nakłonić go, aby przyjął wielkie wąsy i zapuścił faworyty, ale tego nie mogłem dokazać aby mnie nie tytułował jak wówczas gdy oba służyliśmy w wojsku.

— Wszak jesteś przywiązany do mnie i mogę liczyć na ciebie.

— Pan pcznik jest o tem przekonany.

— Czy chcesz oddać mi wielką przysługę?

— A! pnie pczniku, czyż trzeba pytać o to?

— Dobrze, więc pojedziesz do Chatous; tam przy ulicy Colifichet Nr. 1 mieszka pewien pan, nazwiskiem Stefan Wild.

— Nr. 1, Stefan Wild. Dobrze.

— Pan ten musi mieć służącego albo służącą; więc z nim lub z nią się poznajomisz.

— Jeźli o to tylko chodzi — szczególniej jeźli jest to kobieta...

— Milcz, huzarze! rzekłem śmiejąc się.

Ryszard aż podskoczył i w jednej chwili stanął w postawie żołnierza bez broni, całkiem sprzecznej z wielkiemi jego faworytami.

— Okażesz się hojnym i szczodrym;—oto masz pieniądze, ale pamiętaj, że wieczorem o siódmej masz złożyć mi raport szczegółowy, obejmującą kompletną listę wszystkich przyjaciół i znajomych pana Wilda. Tylko postępuj tak, aby on w żaden sposób nie mógł się domyśléć żeś po to przybył.

— I nic więcej pnie pczniku?

— Nic.

— Niech pan pcznik będzie spokojny, o siódmej przyniosę żądaną listę.

— Dobrze, jedź więc.

Gdy odszedł, Tomix rzekł do mnie:

— Teraz czekajmy na powrót twego huzara. Jeźli chcesz, możesz ze mną dla rozrywki rozwiązać kilka problematów analitycznych, lub zabawiać się rachunkiem różniczkowym. Mam właśnie kilka bardzo ciekawych zagadnień.

— Mocno obowiązany, wolę się przejść trochę, odpowiedziałem.

I zostawiłem go rozkoszującego się różnemi x i y ułamkami, logarytmami, wszystkiem co tylko ma związek z ulubioną jego matematyką. Wróciłem o szóstej. Ryszard wrócił punkt o siódmej i rzekł oddając mi papier:

— Oto jest, pnie pczniku.

— To lubię, prędkoś się sprawił, odrzekłem.

— Bo to była kucharka, pnie pczniku.

— A! rozumiem. No, możesz odejść, jestem z ciebie zadowolniony. Czy wydałeś wszystkie pieniądze?

— O! nie, byłem tylko z panną Wirginią na zabawie w Nanterre.

— Dobrze, weź sobie resztę.

Jakkolwiek sir Stefan Wild nie miał znów zbyt wiele znajomości jakieśmy się tego obawiali, jednakże lista ich była dość długa. Obejmowała następujące osoby:

Państwo Forster, Paryż, ulica du Rocher, Nr. 16; P. Duplessis, Paryż, ulica Mosnier, Nr. 17; P. Jerzy Van Baer, Paryż, ulica Richelieu, Nr. 14; Państwo Wiliamowie Porting, Paryż, ulica Rivoli, Nr. 107; Sir Henryk Tonningham i miss Izabela Tonningham, villa Bargatan, w Port-Marly; Pani i panna Naisser, Paryż, ulica Canmartin, Nr. 24.

— Znam parę z tych osób, rzekłem do Tomixa.

— Kogóż? zapytał.

— Henryka Tonningham, *esq.* i miss Tonningham — mieszkają w Marly, o parę kroków ode mnie.

— Wybornie! kochany przyjacielu, gdyż możnaby stawić sto przeciw jednemu, że to o nich własnie chodzi. Między kilku objętemi tą listą imionami angielskiemi, jedno tylko zaczyna się od H *Henryk*, i on tylko mieszka tak blizko sir Stefana iż może odwiedzać go często. Teraz trzebaby nam jeszcze sprawdzić jedno więcej prawdopodobieństwo, dowiedzieć się czy sir Henryk umie po hiszpańsku. Czy znasz go blizko?

— Bardzo blizko — nie, ale łączą nas dobre sąsiedzkie stosunki. Jest to brat i siostra, rodziców już nie mają. Brat ma lat 30, siostra 20. Mają dość znaczny majątek, sześć miesięcy przemieszkują w Marly, resztę roku w Pau lub w Nicei.

— Nic więcej o nich nie wiesz?

— Nic a nic.

— Nie wieleś powiedział, ale i to coś znaczy. Słuchaj Marceli, jutro raniutko jedziemy do ciebie do Port-Marly.

— Nic tam nie będzie w porządku; nie byłem w Port-Marly od kilku miesięcy.

— Ryszard pojedzie naprzód i uporządkuje wszystko.

— Zgoda.

— Zaraz po naszem przybyciu oddasz wizytę sąsiadom, i zaprezentujesz mnie jako przyjaciela zaproszonego do ciebie w gościnę na dni kilka.

— I cóż dalej?

— Rozbierzemy role jakie nam odegrać trzeba. Ja będę się starał pozyskać zaufanie i zawiązać ścisłe stosunki z bratem i siostrą, ty kierować będziesz śledztwem przeciw Stefanowi Wild.

— Ta! ta! ta! zapominasz, że mamy na wszystko kilka dni czasu, a za krótki to termin, aby cię wprowadzić i zawiązać poufne stosunki z Anglikiem i Angielką.

— To rzecz względna. Jak poznałeś się z nimi?

— Zostałem przedstawiony przez przyjaciela mego de Parsy, który zna ich bardzo dobrze. Od niego moglibyśmy zasięgnąć najdokładniejszych objaśnień, ale od parę miesięcy został przeznaczony do ambasady francuzkiej w Petersburgu.

— To źle. Ale zawsze znasz ich dobrze i zostałeś przedstawiony przez dawnego przyjaciela, co bardzo wiele znaczy u Anglików. Teraz ty jesteś w podobnych warunkach, więc można mnie przedstawić. Czy czasem sir Henryk nie ma jakiegoś szczególniejszego do czegoś zamiłowania, jak to mówią manii? Może tak jak ja oddaje się z wyjątkowem upodobaniem jakiejś gałęzi nauk?

— Zgadłeś, przepada za wynalazkami przemysłowemi. Całe pierwsze piętro ich domu zajęte jest na laboratoryum, od którego uciekam z przestrachem. Jest tam cały szereg przyrządów Rhumkorffa z czarnemi cylindrami, stojących obok małych motorów parowych, połyskujących jak zegarki, różnych maszym elektro-magnetycznych, modeli telegrafów, przeróżnych fotometrów, balonów, retort, a dalej wielki piec i wentylator. Gdy ktoś tam wejdzie go odwiedzić, mówi mu z najzimniejszą krwią coś np. podobnego:

— Ostrożnie! w tym ołowianym przyrządzie otrzymuje się kwas cyanowodorny, gdyby coś poruszyć, nastąpiłby wybuch, którego nie moglibyśmy opisać nikomu z powodu, iż życie by z nas uleciało.

— Doskonale! zawołał Tomix; skoro tak jest, po dwóch dniach będziemy najlepszymi przyjaciołmi. Przedstawisz mnie jako inżyniera, fizyka i chemika. Dokonamy razem rozbioru parę substancyi, zbadamy parę związków i ich działań, rozsadzimy parę retort... gdy to się stanie, najzimniejszy Anglik się rozgrzeje.

— I cóż potem?

— Jakto, co potem? Jeźli, jak się zdaje, ten Wild chce zgładzić ze świata p. Henryka Tonningham, niezawodnie jeden z tych trzech powodów popycha go do zbrodni: żądza pieniędzy, miłość lub zemsta.

— Więc cóż?

— Cóż?... sądzę iż nie przypuszczasz, że Wild będzie tak uprzejmym i sam udzieli nam potrzebnych objaśnień — musimy więc tak rzeczy pokierować, aby sir Henryk objaśnił nas sam nie wiedząc o tem. W każdym razie dowiem się przynajmniej stosunków jego z naszym tajemniczym korespondentem.

— Teraz rozumiem.

— Ja tedy biorę na siebie tę część śledztwa, ty zaś będziesz pilnował sir Stefana.

— Ależ, mój drogi...

— No, nie bój się, nie bój. Pójdziemy jutro do pewnego sklepu z tytuniem i z tabaką, którego właściciel dawny ajent policyjny, dziś z zamiłowania i za pieniądze, chętnie zajmuje się dawnem rzemiosłem. Wprawi w ruch kilku dawnych swoich towarzyszy, a przez nich wiedzieć będziesz o każdym kroku sir Stefana jak i gdzie spędza każdą godzinę.

— Czyż postępowanie takie nie będzie niewłaściwem?

— Nie sądzę. Jeźli, co zdaje się niepodobnem, posądzamy go mylnie, tajemnice jego życia pozostaną przy nas i żadnego z nich nie zrobimy użytku — nic mu to więc nie będzie mogło szkodzić. W przeciwnym razie działamy w dobrej sprawie.

— Niech cię licho weźmie, jak ty wszystko umiesz wyrozumować.

— Zatem będziesz odbierał raporta i codziennie zawiadomisz mnie o ich treści.

— Niech i tak będzie.

— Dalej, jakkolwiek wyjaśnienia i wskazówki otrzymam od sir Henryka, trzeba będzie koniecznie sprawdzić je i uzupełnić, aby poznać dobrze przeszłość i osobistość... no, powiem już tylko podsądnego... Ryszard był z tobą długo w Anglii i mówi po angielsku, za dwa dni wyślemy go do Londynu.

— Czyś oszalał! nie zna tam żywej duszy.

— Postaram się o rekomendacyą za pośrednictwem której łatwo tam znajdzie miejsce.

— I od kogóż ją zdobędziesz?

— Od samego Stefana Wild, *esq.*, odrzekł Tautin.

Osłupiałem usłyszawszy tę odpowiedź.

(D. n.)

O kometach i gwiazdach spadających.

Odczyt D-ra Jędrzejewicza, wygłoszony dnia 1 grudnia, w sali ratuszowej.

Na chwilę zwróćmy pilną uwagę na niebo, tę ogromną, nieskończoną przestrzeń, gdzie miliony światów większych niż nasza ziemia zawisło... Jaka tam harmonia, jaki porządek, jaka pewność ruchu. Każde ciało, każda gwiazda ma wyznaczoną sobie drogę po której posuwa się miliony lat, a zawsze jednakowo prędko i jednakowo równo i prawie co do sekundy znajduje się zawsze w swojem miejscu. Zdawałoby się że wszechświat to zegar nigdy się nie opóźniający — masa w nim kół różnorodnych, większych i mniejszych, ale każde z nich ma swoje przeznaczenie, swoją drogę...

Chociaż od czasu do czasu i tam pojawiają się przybłędy straszne, odróżniające się od zwykłych gwiazd i niepokojące widza, a są to komety, owe wróżby złego, które tyle razy używał do swych obrazów, wcześnie zgasły, a wielki nasz narodowy rysownik Artur Grotger — jako złej przepowiedni.

Otóż dr. Jędrzejewicz wypowiedział odczyt wyjaśniający ten system planetarny, i wykazał licznie zebranej publiczności, co to jest kometa.

Zabobon, który się przywiązywał do tego potworu, mówi sz. prelegent, nie powinien nadal istnieć w ucywilizowanem społeczeństwie, bo komet pojawia się mnóstwo, a zatem nic dziwnego, że się tam do nich przywiąże od czasu do czasu jakieś nieszczęście.

Kometa, jak i inne ciało, ma naznaczoną sobie drogę. Jest nią duża elipsa, częstokroć przechodząca w ogromną parabolę czyli linię krzywą powstającą z przecięcia ostrokręgu płaszczyzną równoległą. Po takich ostrokręgach zakreślających w przestrzeni niezrozumiałe nam obszary, posuwają się często różne nowo tworzące się ciała, które nie stanowią jeszcze masy zorganizowanej i dlatego nie odznaczają się kształtem do gwiazd stałych podobnym. Są to owe komety, które przedstawiają się nam w najrozmaitszych kształtach. Zwykle jednak wewnątrz komety znajduje się mała, błyszcząca tarcza, otoczona dokoła mgłą bladą, etyryczną, jest to *jądro* czyli środek komety, mgła zaś owa nazywa się powszechnie *warkoczem.* U większej liczby komet owa mgła światła, rozciąga się w rozmaity sposób, raz, jakby włosy rozczesane dziewicy, powtórnie zdaje się być strumieniem wody, a częstokroć przeciąga się długo — i przetwarza się w ów powszechnie zwany *ogon komety.*

Wogólności owa mgła światła otaczająca kometę, jest nadzwyczaj prawie eteryczna, a jak twierdzi szanowny prelegent z otrzymanego widma składa się ona przeważnie z gazów rozpalonych. Samo jądro komety ma masę bardzo małą, co możemy wnosić ztąd, że każde takie ciało przechodząc około większych planet, doznaje od nich znacznych perturbacyi, nie wywierając na ruch tychże najmniejszego wpływu.

Że widzimy je świetniejszymi od innych gwiazd, to tylko dlatego, iż zbliżając się do słońca, nabierają coraz większego natężenia światła a razem i rozpalają się więcej. Ztądto, gdy kometa znacznie jest od słońca a więc i od nas oddalona, przestajemy ją widzieć, pomimo tego, że pozorna jej wielkość jest jeszcze dość znaczną.

Wogóle każda prawie kometa od chwili ukazania się, powiększa prędkość swego biegu, przybliżając się do słońca tak, że w punkcie przysłonecznym, czyli w punkcie drogi najbliższym słońca, posiada największą prędkość. Od tego punktu prędkość biegu maleje stopniowo, gdyż kometa oddala się już od swego ogniska.

Wszystkie komety, które my gołem okiem, lub za pomocą lunety możem obserwować z ziemi, odbywają drogi swoje naokoło słońca, według wygłaszanych w 1618 roku praw przez Keplera, po obwodach elips, których jedno z ognisk zajmuje słońce. Lecz te drogi różnią się bardzo od dróg, jakie inne planety opisują, są to bowiem, jakieśmy to mówili, znacznie rozciągnięte elipsy, mogące nawet w pewnych granicach być przyjęte za parabole. Dlatego też mamy dwa gatunki komet: jedne z nich obiegają koło słońca i powracają w pewnym przeciągu czasu nazad tąż samą drogą i takie komety nazywają się *peryodycznemi.* Inne zaś tak wielkie opisują koła, że miliony lat ubiegną zanim powrócą w swoje miejsce, albo i nie wracają, ulegając częstokroć zniszczeniu, to jest rozbiciu, lub zmieniając drogę swą dowolnie. Nad takiemi przybłędami, przybywającemi do nas z odległych stron, nie możemy się dłużej zatrzymywać, gdyż wrażenie zostawiają po sobie zbyt krótkie, nie powtarzające się częściej, a widowisko żadnych prawie dla nauki korzyści przynieść nie może. Zato wrócimy do komet które od czasu do czasu pokazują się na niebie; takie zowiemy kometami *peryodycznemi*, a co prawda, nie jest ich wiele.

Najpierwsze i najważniejsze w rzędzie tych komet miejsce niezawodnie zajmuje obserwowana przez Halleya, słynnego astronoma, który zebrawszy obserwacye czynione w 1531, 1607 i 1682 roku nad zjawiającemi się w tych latach kometami, otrzymał, że są to pojawienia jednej i tej samej komety.

W samej rzeczy kometa ta zjawia się co 75 lub 76 lat w czasie, który dosyć dokładnie wprowadziwszy w rachunek perturbacye, jakie doznaje to ciało niebieskie od planet (Jowisza, Saturna i Neptuna) około których przechodzi, oznaczyć można.

Kometa Halley'a widzianą była też w roku 1006. Tarcza jego była wtedy cztery razy większą od tarczy Wenery i rzucała światło tylko 4 razy słabsze od światła księżyca w pełni. W 1456 roku przechodziła ona bardzo blizko ziemi. Ogon jej zajmował wtenczas przeszło 60 stopni, a zatem był niezmiernie długi, trochę zakrzywiony w kształcie szabli. Podczas ostatnich swoich pojawień nie przedstawiała się już w takiej wielkości, a w 1835, przeszła niepostrzeżona gołem okiem.

Drugiem takiem zajmującem zjawiskiem, jest niezawodnie kometa Encke'go, dostrzeżona po raz pierwszy 1818 roku przez Pons'a, a ponieważ elementa ruchu obliczył Encke, przeto zaopatrzono ją jego nazwiskiem.

Wedle obliczeń jego, kometa ta jest tąż samą którą obserwowano w 1786, 1795 i 1805 roku. Jeden całkowity jej obrot około słońca przypada co 1211 dni, czyli $3^1/_2$ lata, dlatego też nazwali ją astronomi: kometą o krótkim peryodzie. Aby dać możność poznania tej drogi którą ona odbywa, musimy zaznaczyć, że punkt przysłoneczny znajduje się około drogi Merkurego, punkt zaś odsłoneczny, około drogi Jowisza. Proszę sobie wystawić jak prędko porusza się ta kometa, która ma jeszcze tę charakterystyczną cechę że wcale nie ma ogona.

Dziwną i zupełnie odrębną od tamtych komet jest kometa Gambart'a, spostrzeżona po raz pierwszy przez austryackiego oficera, a razem amatora-astronoma p. von Biela w 1726 roku. Gambart wyrachował elementa ruchu dla tej komety i dowiódł, iż są to też same, które wiązały się z kometami obserwowanemi w 1865 i 1772 roku. Rzeczywiście ta kometa należy do peryodycznych i wykonywa całkowity obrot około słońca w ciągu $6^3/_4$ lat.

Dostrzeżono ją w roku 1832, 1846, 1852 i 1859. Ale nie w tem leży jej odrębność. Oto podczas czynionych obserwacyi w 1846 roku, przedstawiła ona szczególne zjawisko rozdwajając się na dwie części, i tak jedna obok drugiej wędrują dalej, gdyż spostrzeżono to w roku 1852 i 1859.

Jest jeszcze kometa obserwowana przez p. Feye w roku 1843 w Paryżu, której jeden całkowity obrót naokoło słońca przypada co $7^1/_2$ lat. Ruch jej jest *prosty* po obwodzie elipsy — nachylonej do eliptyki pod stopniem 11-m.

Inni astronomowie odnaleźli wiele więcej jeszcze komet którym peryodyczne się pojawianie przypisują, i tak Olbers wyliczył elementa eliptyczne komety, która ukazała się w 1815 roku i zaznaczył że peryod jej obrotu wynosi 75 lat. Wypadek ten można dopiero stwierdzić przy następnem ukazaniu się tej komety, przypadającym w 1889 roku. Dalej szanowny prelegent opisywał kometę widzialną w roku 1881, nad którą sam spostrzeżenia czynił. Jądro komety, jak i warkocz zmieniały bardzo często swoją figurę prawie co parę dni!..

Poznaliśmy więc z tego odczytu dokładnie stan nieba i jego zjawisk. Możemy się więc nie obawiać komety! jest to rzecz zwyczajna w ustroju wszechświata... Kometa nie jest nam straszną i kiedy jedna najmniejsza gwiazdka potrącając o ziemię zniszczyłaby życie na niej, to wiele komet rozbija się często o nią nie przyczyniając jej nic złego.

Ale oprócz komet, jest jeszcze niejedno zjawisko na niebie — ów deszcz gwiazdzisty, widziany w listopadzie i w sierpniu cóż to jest?—Ot, zjawisko, które nauka tak tłomaczy. Ziemia nasza właśnie w tym miesiącu przecina drogę jeszcze niezorganizowanych ciał, które częstokroć zostają przyciągane przez ziemię i na nią spadają. Bardzo dobrze i trafnie spopularyzował tę kwestyę sz. prelegent, obserwator i badacz tych zjawisk niebieskich... za co się słuszne należy mu uznanie.

Wiktor Czajewski.

3 Grudnia 1881 r.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ I ja, syn wieku... o! listek cichy,
Do mego drzewa przyrosły ciałem,
Z pnia popsutego zgniliznę ssałem,
Długom się w szelest szamotał pychy,
Nim na zdrój żywy, burzą zawiany,
Doznałem w sobie dziwnej odmiany.

Od tej zwrotki rozpoczął swój odczyt na zebraniu Towarzystwa uczniów batiniolskich, znany erudyt, p. Michał Żmigrodzki, doskonale obznajmiony z biegiem i zwrotami tak naszej jak i powszechnej literatury. Prelegent był w swoim żywiole mówiąc o sędziwym wieszczu naszym Bogdanie Zaleskim i ulubionej jego Ukrainie, której żywotnem tchnieniem od dziecka był wykarmiony.

Te kilka przytoczonych wierszy, to nić przewodnia do wykazania jak i gdzie rozwijał się duch naszego wieszcza. Życiorys jego streścił w kilku wierszach. Bohdan Zaleski urodził się w 1802 r.; szkoły skończył w Humaniu; przybył do Warszawy, gdzie zaczął pisać, w ośmnastym roku życia (1820 r.), a opuściwszy kraj w dziesięć lat potem, wkrótce stale zamieszkał we Francyi, gdzie dotąd przebywa. Rozszerzył się zato p. Żmigrodzki nad psychiczną biografią poety, przedstawiając dzieje jego duszy w długim szeregu poetycznych jego utworów. Aby lepiej dać pojąć dziwną przemianę zaszłą w poecie „gdy trafił na zdrój żywy”, prelegent przebiega treściwie dzieje poezyi i główne jej w świecie przejawy. Najpierw mowi o ludowej poezyi Grecyi, dostępnej dla ogółu; potem o poezyi rzymskiej na dworze cezarów; dalej o romantycznej poezyi wieków średnich, tchnącej ludową naiwnością; nadmienia pokrótce o pseudoklasycyzmie XVI wieku, „tej płonce starożytnej zaszczepionej na pniu średniowiecznym, wybujałej w sztuczne drzewo pod tchnieniem Torkwata Tassa i Ariosta”, i nakoniec o kowencyonalnej poezyi z epoki Ludwika XIV-go”, gładkiej, zimnej, przystrzyżonej, jak aleje w Wersalu, przez które nie przedzre się promień słońca.

Nagle poezya rozbudza się z wiekowego letargu; pieśni Ossyana dzwonią jak śpiew skowronka, zapowiadający powrót wiosny. Rewolucya francuzka podkopuje odwieczne wzręby gmachu społecznego, rodzi nowe pojęcia. Nieznane dotąd hasło: wolność, równość, braterstwo, szerszy oddech dobywa z piersi ludzkiej, wreszcie krwawe sceny terroryzmu budzą w sercach uczucie religijne, zwracają myśl ludzką do wieków miłości i wiary.

Na każdem polu kiełkują nowe ideje; nowi pracownicy występują do zapasu. W dziedzinie filozofii Chateaubriand podnosi we Francyi sztandar religijny, znieważony szyderstwami Voltairea i encyklopedystów. W Niemczech Fichte, Schlejermacher, a szczególniej Schelling ukazują widnokręgi rozjaśniane promieniem ideału. W piśmiennictwie Tick, Wackenreder, Nowalis otrząsają się z klasycznych pleśni, krzepią ducha w żywym zdroju podań ludowych. Na polu malarskiem Owerbeck w Niemczech tworzy nową religijną szkołę; we Francyi Ary Scheffer, Delacroix porzucają spowszedniały Olimp, czerpiąc natchnienie w dziełach Dantego.

Lecz obok tych żywotnych, drgających w powietrzu, ledwie zrodzonych pojęć i wpływów, istniały jeszcze dawniejsze, wyrastające z zepsutego pnia, zatrute zgubnemi miazmatami. „Długom się w szelest szamotał pychy”, mówi o sobie Bohdan, wyznając tem, że i on w pierwszych, zapomnianych dziś utworach, poszedł torem klasyków. Niezadługo jednak orzeł rozwinął skrzydła i rozbił szczeble ciasnej klatki, skąpał się w żywym zdroju i dziwną uczuł w sobie przemianę. Stojąc na zwrocie ludzkości, woła o powrót do epoki serca i wiary. W tym peryodzie powstały religijne poezye Bohdana, które rozbierając z kolei, prelegent najwyżej stawia przekład z łacińskiego, hymnu Ś. Kazimierza:

„Już od rana, rozśpiewana,
Chwal o duszo Maryę.”

który porównywa do Rafaelowskich arcydzieł.

Długo i obszernie rozbierał prelegent poemacik „Umarli”, widząc w nim najwyższą myśl chrześciańską, obleczoną w cudowną formę poezyi, wymowną odpowiedź pytającym w rozpaczy: „Gdzież się podzieli ci co przemknęli cicho po falach czasu? Czemże jest życie jednostek, czem życie pokoleń? Dokąd dążymy? Któż na to odpowie?”

„Szczęśni co zmarli w łasce Twej, o Boże!” odpowiada poeta, dodając:

„Krzyż po nad światem, krzyż Pański z daleka,
Jako ciemnościom światło użyczone,
Stał za wskazówkę na drodze człowieka.”

I czyż od owego czasu mniej łez z oczu ludzkich popłynęło? pytają zrozpaczeni lub niewierzący. Na to odpowiada znów poeta:

„Czemuż nie wszyscy patrzyli w tę stronę!...”

Od religijnych, zwrócił się poeta do poematów filozoficznych, do jakich między innemi zalicza „Ducha od stepu”. Dalej mówi o „Rusałkach” unosząc się nad cudnym ich epilogiem:

„Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty.
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

Święć się chwilo, gdy wcielona
Fantastycznych krain córa,
Czarodziejka lekkopióra,
Sama zbiegła w me ramiona.

Czarodziejka ta, to poezya? tym wiekiem młodym, tym snem na kwiatach, ideałem wiary, cnoty, to zorza XIX wieku... Otóż wiek ten, tak świetnie się zapowiadający w początkach, tak wysoko szybujący po sferach ideału, zdaniem prelegenta, przy zbliżaniu się do końca, pomimo niezaprzeczonego postępu naukowego, jakże nizko stoczył się z wyżyn duchowych, w brudne otchłanie materyalizmu! „Żaden wiek takim nie był bankrutem! zawołał p. Żmigrodzki, i na dowód przedstawia co zapowiadał i czego nie dotrzymał.

W życiu społecznem mieszczaństwo stało silnie pod sztandarem prawa i wolności parlamentarnej, dziś zysk i wyzyskiwanie wyłącznym jego celem. Demokracya zamieniła się w socyalizm, zmierza do komunizmu tak sprzecznego z duchem cywilizacyi europejskiej. Arystokracya rodowa, zapominając ciążących na niej obowiązków, z renty tylko blask czerpie.

W dziedzinie filozofii, w początkach wieku, filozofowie usiłowali pogodzić objawienie z myślą ludzką — dziś Schopenhauer wprowadza nihilistyczne wnioski, innych rozpaczliwe teorye popychają do samobójstwa. W historyi: Herder nazwał człowieka ogniwem łączącem niebo z ziemią, dziś Buckle i Draper odnoszą dzieje do wpływów czysto fizycznych. W dziedzinie poezyi, z początku wieku brzmiały w Niemczech głosy Goethego, i Schillera; w Anglii Byron pisał cudne swoje utwory; we Francyi Lamartine i Wiktor Hugo, u nas, Mickiewicz opromienił swe skronie aureolą nieśmiertelnej sławy — dziś niwa poezyi leży odłogiem.

W muzyce, Heyden, Bethowen, Weber i Mendelson tworzyli arcydzieła; Chopin zachwycał świat zidealizowaną melodyą naszych ludowych tematów — dziś tłumy zachwycają się Offenbachem i karczemnemi śpiewkami „szansonetek”.

W powieści panował Walterscot, dziś podziwiają Zolą za obnażanie wstrętnych ran społecznych. W malarstwie przewodniczył Arry Scheffer, Delacroix, Delaroche, Overbeck, Korneliusz, dziś rażą oczy „dywany” Mackarta, budzą niesmak „Martwe ideje” Baudry'ego, wstrętem przejmują rozpustne sceny Rafaelli'ego i całej szkoły impresyonistow.

W początkach wieku tego, mówi dalej prelegent, młodzież karmiła pierś wyższym ideałem, hartowała ramię do czynu; dziś bogata marnuje bezmyślnie ojcowiznę, uboga, w walce o byt zatraca wiarę, gardzi przeszłością i stacza się powoli w wstrętną otchłań nihilistycznych zasad. Tu prelegent przytacza ustęp Bohdana:

O! zdradzieckoż, cud po cudzie,
Wpół wędrówki mnie odbiegły,
I świat piękny, świat rozległy
W sennej rozwiał się ułudzie!

Zaprędko rozwiał się urok XIX wieku. Grecya, mówi dalej, przez cztery wieki chyliła się do upadku; Rzym dogorywał przez trzy wieki; epoka odrodzenia gasła przez lat dwieście — wiek XIX zbankrutował w ciągu 50 lat.

Jednak cały szczęścia wątek,
Składa, jakaś cudów chwilka;
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek.

Mało to bardzo, przecież i z tych złotych strzępków, można nanowo usnuć sieć którą wichry rozwiały—iskierka to drobna, ale pod tchnieniem silnej piersi może wielkim wybuchnąć płomieniem.

Przystępując do działu poezyi ukraińskich, prelegent kreśli prześliczny obraz Ukrainy i jej stepów. Z pomiędzy wiekowych podań, zapisanych na stepach Ukrainy setkami mogił i zaklętych żywcem w pieśń ludu, najżywiej porywały wyobraźnię Bohdana tradycye odnoszące się do końca XVI i początku XVII wieku. Z nich to wysnuł bogaty cykl dum kozackich, tak samoistnem piętnem naznaczonych. Kilka tych poematów rozbierał i tłomaczył; z tych nadzwyczaj żywe, na słuchaczach wywarł wrażenie „Lach serdeczny na marach” tak niezrównanie piękną formą wiersza, jak całym mistrzowsko nakreślonym obrazem.

Doskonale napisana i prześlicznie wypowiedziana prelekcya, bardzo zajęła słuchaczy, którzy głośnym oklaskiem dziękowali prelegentowi. Wkrótce ma być w całości drukowaną p. t. „O znaczeniu poezyi Bohdana Zaleskiego, w naszej literaturze.“

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Декабря 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Te ostatnie słowa wymówił z pewnem wahaniem, gdyż lękał się obrazić Esterę, która jednak zamyśliła się tylko, a następnie zawołała:

— Nie! to być nie może, musiałabym o tem wiedzieć. Zresztą od czasu zniknięcia Godfreda, ani ojciec jego, ani ja nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości.

— Ale w takim razie jakież są pani przypuszczenia? Jak pani sobie tłomaczy postępowanie syna? zapytał Kolin.

— Mogę to panu powiedzieć, panie Fraser, ponieważ budzisz we mnie zaufanie i wiem że mnie zrozumiesz.

Opisała mu wtenczas jakie wychowanie odebrał Godfred w rodzicielskim domu, nie wspominając wszakże nic o postępowaniu z nim ojca, i przedstawiła mu wszystkie swe obawy.

— Naiwność moich córek, wychowanych w tem samotnem schronieniu, ich zupełna nieświadomość zwyczajów światowych, może panu dać wyobrażenie jakim był mój syn, wychowany w tych samych jak one warunkach. Cóż więc dziwnego że został olśniony zbytkiem i okazałością życia w Seaforth, stanowiącego tak wielką sprzeczność z prostotą rodzicielskiego domu.

Lord Seaforth nie wywierał na nim żadnego wpływu, gdyż Godfred nie mógł nigdy przebaczyć stryjowi jego despotycznego postępowania z mym mężem. Mój biedny syn, pozostawiony tym sposobem sam sobie, i nieznający zupełnie wartości pieniędzy, musiał wpaść w jakieś niegodne ręce, które wprowadziły go na złą drogę. Jednak pomimo wszelkich ciążących na nim pozorów, nie uważałabym go jeszcze za straconego, gdyby nie ta jego niechęć widzenia się ze mną, jego matką; co mówię? gdyby nie uciekł przede mną! Ten postępek głównie napełnia moją duszę najstraszniejszemi przeczuciami! Musiał zawinić bardzo ciężko, skoro nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

Nieszczęśliwa Estera mówiąc to, płakała gorzkiemi łzami.

— Tak, mówiła dalej, samo uparte milczenie Godfreda, trwające już tak długo, nie dozwala wątpić że popełnił coś złego. — Jakże musi być zmieniony! Już zapewnie zupełnie zapomniał o mnie, skoro może powątpiewać o mej pobłażliwości. Czy może nie przeczuwać tego że jakiekolwiek byłyby jego winy, przebaczyłabym mu gdyby tylko wrócił do mnie, bo nic mnie tyle nie dręczy nad to jego nielitościwe milczenie, nad tę straszną niepewność! O! gdybym tylko mogła go znaleźć! gdybym mogła napisać do niego, zapewnić go o mojem przywiązaniu! Jedno moje spojrzenie potrafiłoby go zmusić do wyznania popełnionej przez niego winy; ale, niestety! wszelkie usiłowania jakie czyniłam dotąd dla odkrycia schronienia mego nieszczęśliwego syna, były bezskuteczne.

Milczała czas jakiś, a potem mówiła już spokojniej:

— Jak tylko dowiedziałam się twego nazwiska, panie Fraser, przyszło mi na myśl że mógłbyś mi dopomódz w moich poszukiwaniach. O! zaklinam pana, nie odmawiaj mi swej pomocy. Staraj się wyśledzić gdzie się mój syn ukrywa; jeżli nie możesz udać się sam do Anglii, to musisz tam mieć kogoś z przyjaciół który będzie mógł cię zastąpić.

— Pani! zawołał Kolin wzruszony, uważałbym się za szczęśliwego gdybym mógł przynieść jakąś ulgę w twych troskach, spełnić twe życzenia; pojechałbym natychmiast do Anglii, gdybym mógł słuchać tylko swego serca, ale, na nieszczęście, położenie moje zależne nie pozwala mi na to. Lecz niech to panią nie smuci, dodał, widząc wyraz bolesnego zawodu na twarzy Estery, można wiele rzeczy załatwić listownie, a jestem pewny ze brat mój wywiąże się z tego zadania równie dobrze, a może nawet lepiej ode mnie. Andrzej jest wikaryuszem w Warwickschaire, ale może z łatwością udać się do Londynu i rozpocząć poszukiwania tak osobiście, jak na drodze urzędowej.

Napiszę natychmiast do brata, abym mógł odebrać jego odpowiedź, zanim będę zmuszony wrócić do Berlina, a następnie Andrzej będzie mógł pisać już wprost do pani, i uwiadamiać ją o skutku swych poszukiwań.

— O! niech cię Bóg błogosławi, panie Fraser, zawołała Estera, szczęśliwa że jej zabłysła choć mała iskierka nadziei. Tak, Bóg tylko może wynagrodzić cię za to co czynisz dla mnie; ja nie jestem zdolna nawet wyrazić ci mej wdzięczności!

— Przeciwnie, może mnie pani wynagrodzić stokrotnie, nietylko za to co mogę, ale i za to co pragnąłbym uczynić dla pani, odpowiedział z żywością Kolin.

— Jakim sposobem? zapytała zdziwiona Estera.

— Ah! czy pani nie odgaduje? rzekł Kolin. Pozwól mi pani starać się o rękę miss Oliwii, a odbiorę nagrodę wyższą nad moje zasługi.

— O rękę Oliwii! zawołała zadziwiona Estera. Ależ to dziecko jeszcze!

— Młodość jest wadą z której poprawiamy się prędko, odpowiedział Kolin, a ja także nie mógłbym się ożenić dopóki nie otrzymam znaczniejszej posady w dyplomacyi, gdyż pragnę ofiarować Oliwii godne jej stanowisko.

— Czy pan już mówił z nią o tem? zapytała Estera, a gdy wstrząsnął przecząco głową, dodała: O! w takim razie nie mów jej nic jeszcze; Oliwia jest tak jeszcze młodą i niedoświadczoną! Żądanie pana zaskoczyło mnie tak niespodziewanie, że nie mogę panu dać natychmiast stanowczej odpowiedzi. Pozostaw mi pan tę noc do namysłu, a jutro pomówimy znów o tem.

Pożegnała Kolina życzeniem dobrej nocy, i odeszła.

Estera zasnęła dziś spokojniej, gdyż przyszło jej na myśl że bądź co bądź, przyszłość jej dzieci nie jest jeszcze tak posępną i niepewną jak jej się zdawało, i że promyczek nadziei rozjaśnił nakoniec smutne jej życie. Skoro Oliwia pójdzie zamąż, siostry jej znajdą w każdym razie opiekę, a matka jej pewne schronienie, jeżli, jak przeczuwała zawsze, nadejdą dla niej dni cięższe jeszcze nad te które już przebyła.

XXIII.

Niespodziewane spotkanie.

Godfred Seaforth spadał co raz niżej od czasu jak widzieliśmy go po raz ostatni, i zaszedł już tak daleko że stracił wszelkie poczucie honoru i wstydu, i nie widział żadnej różnicy między fałszem i prawdą.

Wszelkie pojęcia moralne tak się już w nim zatarły, że chwytał się najnikczemniejszych sposobów dla zdobycia tego, czego nie mógł pozyskać uczciwie.

W ostatnich latach przebywał częściej w Nicei niżeli w Monako, i stał się tam przedmiotem pogardy dla wszystkich uczęszczających do klubu, pomimo że nie ściągnął jeszcze na siebie żadnego podejrzenia. Krążyły wprawdzie jakieś głuche wieści o zadziwiającem szczęściu towarzyszącem mu niezmiennie przy grze w karty, ale były to tylko pogłoski niepoparte żadnemi dowodami. Z początku Godfred nie miał jednej spokojnej chwili, obawiał się ciągle aby oszustwa jego nie wyszły na jaw, stopniowo jednak oswoił się z tą myślą, i w końcu zepsucie jego doszło do ostatnich granic.

Od pewnego jednak czasu zaczął niepokoić Godfreda pewien nowoprzybyły młody Anglik, który stał się jego ofiarą za pierwszem ukazaniem się w klubie. Od tego czasu nie grał już wcale, a pomimo to bywał ciągle w klubie, i zwracał na Godfreda baczną uwagę.

Widok młodego Anglika, stojącego zawsze przy nim jak na straży, obudził żywą obawę w sercu zatwardziałego szulera, który chcąc uniknąć zgubnych dla siebie skutków i oczyścić się z wszelkiego podejrzenia, postanowił grać uczciwie. Jednocześnie szczęście przestało mu sprzyjać i przegrał znaczną bardzo sumę; przerażony tem i chcąc ją odzyskać, wrócił do używanych dawniej sposobów i postanowił tylko, gdy się odegra, wrócić na czas jakiś do domu, i zniknąć tym sposobem z oczu nieznajomego.

Zasięgając o nim wiadomości, dowiedział się że młody Anglik należał do ambasady, i zapewnie wkrótce opuści Niceę wraz z swym ambasadorem.

Nawet wzgląd na przyszłość córek nie powstrzymywał już Godfreda; biedne dziewczęta zdawały się wzrastać na to jedynie, aby się stać niewinnemi ofiarami jego niecnego postępowania. Ta myśl zatruwała życie Estery, a sam Godfred przeczuwał to, i nawet niekiedy ubolewał nad tem, ale w takim razie starał się zagłuszyć w sobie głos sumienia, i szedł dalej raz obraną drogą.

Godfred Seaforth czuł się sam tak spodlonym, że obecność żony i córek stała się dla niego nieznośną. Nie miał odwagi spojrzeć w oczy żonie, przed którą ukrywał starannie swe niecne postępki.

Jednak Estera przeczuwała że postępowanie męża nie jest wolne od zarzutów, i dla tego nie chciała nigdy użytkować z pieniędzy które niekiedy przynosił do domu, utrzymując że pensya wyznaczona dla niej osobiście, wystarczała na utrzymanie jej i córek.

Godfred był teraz rzadkim gościem w domu i nie widziano go już tam od trzech tygodni, gdy chroniąc się przed grożącem mu niebezpieczeństwem, został zmuszony szukać w nim schronienia.

Nazajutrz po przytoczonej powyżej rozmowie Estery z Kolinem, cała rodzina zeszła się na śniadanie, i pani Seaforth dostrzegła w obejściu Oliwii niezwykłą jej nieśmiałość połączoną z jakiemś rozdrażnieniem, i z żywym niepokojem zadawała sobie pytanie, czy jej córka nie oddała już serca, nie wiedząc nawet o tem.

W tej chwili rozległ się w ogrodzie odgłos śpiesznie zbliżających się kroków.

— To ojciec! ojciec! zawołały dziewczęta.

— No! jak się miewacie! zapytał głos, którego dźwięk dobrze był znany Kolinowi. Po chwili nowoprzybyły otworzył drzwi i stanął jak wryty spostrzegłszy Kolina; potem cofnął się jakby zobaczył jakieś widmo, zbladł, uchwycił ręką drzwi żeby nie upaść i westchnął głęboko. Lekki dreszcz przebiegł także Kolina, teraz już wiedział że szuler z Nicei i Godfred Seaforth była to jedna i taż sama osoba, i że człowiek którego chciał zgubić, był ojcem Oliwii.

XXIV.

Tajemnica.

Godfred Seaforth pierwszy odzyskał zimną krew; ukłonił się grzecznie ale ceremonialnie Kolinowi, udając że spostrzegł go teraz dopiero, zapewnił go że miło mu powitać go w swoim skromnym domku, i że przyjaciele jego żony mogą zawsze liczyć na jego przyjaźń.

Zmieszany swym odkryciem Kolin, zaledwie zdołał podziękować mu za uprzejme powitanie.

Seaforth zwrócił się następnie do córek, zalecając im aby starały się zabawić gościa, i wskazał im jako cel wspólnej z nim przechadzki, rzeczywiście piękne, ale dość odległe miejsce. Zaledwie jednak pozostał sam tylko z żoną, obejście jego zmieniło się zupełnie, był nadzwyczaj niespokojny i rozdrażniony, nie chciał jednak powiedzieć Esterze co doprowadziło go do tego stanu. Zdawał się przeciwnie unikać nawet wzroku żony.

— Pójdę do mego pokoju i położę się spać, rzekł nakoniec, jestem bardzo zmęczony; niechże tam nikt nie wchodzi, dopóki nie wstanę. Wyszedł i zamknął drzwi za sobą, ale zamiast udać się do swego pokoju, wymknął się nieznacznie do ogrodu, aby nie zwrócić uwagi żony siedzącej w salonie przy oknie, a gdy nie mogła go już dostrzedz, puścił się szybko aż do stacyi, gdzie zdołał jeszcze wsiąść do wagonu zanim pociąg ruszył.

W godzinę później, gdy Estera sądziła że Godfred śpi w swym pokoju, mąż jej był już w Nicei, zajmował swe zwykłe miejsce w klubie, i korzystając z nieobecności Kolina, starał się za pomocą nieuczciwych środków odzyskać przegrane pieniądze.

Godfred mylił się sądząc że Kolin Fraser jest jedynym jego nieprzyjacielem; miał jeszcze wielu innych śledzących pilnie wszystkie jego ruchy, i gdy grał spokojnie ciesząc się że nikt na niego nie zważa, groziło mu właśnie największe niebezpieczeństwo.

Estera tymczasem siedziała ciągle na jednem miejscu, pogrążona w bolesnem zamyśleniu. Przestrach męża i widoczne pomieszanie Kolina, gdy spotkali się z sobą, nie mogły przejść dla niej niepostrzeżenie, i w umyśle nieszczęśliwej kobiety zrodziły się straszne podejrzenia. Musiała tam zachodzić jakaś okropna tajemnica!

Zimny dreszcz przejmował Esterę, gdy przebiegając myślą to co Kolin mówił przedtem, przypomniała sobie że nadmienił o jakimś szulerze, któremu chciał udowodnić jego oszustwa. Opanowały ją najstraszniejsze przeczucia, przewidywała że ją spotka jakieś nowe nieszczęście.

Wkrótce jakiś cichy szmer przed domem zwrócił jej uwagę; wstała, zbliżyła się do drzwi, i spostrzegła stojącą na schodkach Oliwię w postawie zdradzającej głęboki smutek.

— Co ci jest? moje dziecię. Co ci się stało? zapytała niespokojnie Estera.

— Nic, droga mamo, już odszedł, odpowiedziała Oliwia drżącym głosem.

— Odszedł! Kto taki? Nie mówisz zapewnie o panu Fraser, zawołała Estera.

Oliwia skinęła tylko potwierdzająco głową.

— Gdzież poszedł? Co powiedział? zapytała znów zatrwożona matka.

— Nic, mamo, nie wytłomaczył niczem swego dziwnego postępowania, powiedział tylko że musi być na stacyi zanim odejdzie pociąg idący do Nicei, i odbiegł nie pożegnawszy się nawet z nami.

— Biedna! biedna Oliwio! jakże ubolewam nad tobą, szepnęła Estera, patrząc na bladą twarzyczkę córki, z trudnością powstrzymującej się od płaczu.

Nieszczęśliwa matka nie mogła już wątpić że Oliwia pokochała Kolina, on zaś uciekł nie czekając aby mu dano odpowiedź na wczorajsze jego zapytanie. Czyż to nie dowodziło że poznał Godfreda, i wyrzekł się zamiaru starania się o jego córkę, nie chcąc wchodzić w bliższe stosunki z podobnym człowiekiem.

Jakkolwiek Estera w tej chwili myślała głównie o biednej swej Oliwii, która miała pokutować za winy ojca, przyszło jej na myśl że powinna uwiadomić męża o nagłem oddaleniu się Kolina.

— Idź, moje dziecię, do ojca i powiedz mu że potrzebuję pomówić z nim niezwłocznie, rzekła do Oliwii.

— Ojca już nie ma w domu, odpowiedziała Oliwia, widziałyśmy go przeszło godzinę temu, biegnącego śpiesznie do kolei.

Estera odwróciła głowę chcąc ukryć jak przykre wrażenie sprawiała na niej ta wiadomość, a potem wyszła prędko i udała się do pokoju męża. Niestety! Oliwia miała słuszność, nie było tam nikogo! mąż oszukał ją niegodnie.

Wróćmy teraz do Kolina. Szedł właśnie obok Oliwii, gdy ta spostrzegła zdaleka przesuwającego się śpiesznie między krzakami ojca, i wskazała go w najniewinniejszej myśli towarzyszowi, mówiąc że zapewnie śpieszy się do stacyi; i wtenczas to Kolin, nie powiedziawszy ani słowa, puścił się za nim jak strzała. Pragnął przestrzedz Godfreda o knowaniach jego nieprzyjaciół, i doradzić mu aby pozostał w domu, lecz pomimo najszczerszych usiłowań spóźnił się o parę minut, i musiał czekać na następny pociąg, którym przyjechał do Nicei już późnym wieczorem. Chcąc koniecznie namówić przyjaciół aby odstąpili od zamiaru ukarania Godfreda za jego sprawki, a w każdym razie, uwiadomić ich przynajmniej że stosunki familijne nie dozwalają mu działać wspólnie z nimi, Kolin, udał się natychmiast do klubu, który jednak już był zamknięty. Godfred oskarżony o oszustwo, zniesławiony, zdołał jednakże uciec i skryć się tak zręcznie, że nikt nie wiedział w którą udał się stronę.

XXV.

Straszna scena w rozkosznem miejscu.

Kolin, jakkolwiek głęboko przerażony tą wiadomością, udał się natychmiast na stacyę kolei. Domyślał się że Godfred zechce wrócić do szaletu, i postanowił pojechać tam za nim, aby, w razie potrzeby, ofiarować swą pomoc nieszczęśliwej jego rodzinie.

Przypuszczenia jego sprawdziły się wkrótce; Seaforth wsunął się nieznacznie do wagonu, a wtenczas Kolin wskoczył do najbliższego przedziału. Zaledwie miał czas rzucić jedno spojrzenie na twarz zatwardziałego szulera, a jednak zadrżał z przerażenia na myśl jak straszne wrażenie wywołałoby w oliwnym gaju ukazanie się tej sinobladej twarzy z iskrzącemi się dziko oczyma.

Czy nie byłby to obraz *grzechu* wślizgującego się do *raju* dla zniweczenia szczęścia niewinnych jego mieszkańców?

Kolin zadziwił się bardzo, widząc że nikt nie wysiada na przystanku. Co to znaczy? pomyślał zaniepokojony; ale postanowił jechać dalej i nie tracić Godfreda z oczu.

Niepewność jego trwała krótko; zaledwie przybyli do Monte-Carlo, Seaforth wyskoczył z wagonu i tak prędko ukrył się w tłumie, że Kolin widząc że go nie dogoni, udał się prosto do kasyna.

Salon do gry był przepełniony; pomimo to Kolin spostrzegł wkrótce Seaforth'a, który usiadł właśnie do gry i wyjmował pieniądze. Oczy jego błyszczały dziko, złowrogo, i zdawał się zostawać pod wpływem jakiegoś szału.

Zatrwożony widokiem jego Kolin, przysunął się trochę do rulety. Godfred stawiał wysokie stawki, grał ryzykownie, po desperacku, i przegrywał ciągle. Fraser wyszedł do sali przeznaczonej dla tańczących i usiadł niedaleko drzwi wchodowych, oczekując na dalsze wypadki. Niedługo potem ujrzał znów Godfreda idącego przez salę chwiejącym się krokiem, z twarzą straszliwie zmienioną, z błędnemi oczyma, lecz gdy Kolin sądził że wyjdzie głównemi drzwiami, on skręcił nagle i wybiegł do ogrodu, gdzie Kolin stracił go z oczu między drzewami.

Seaforth biegł prędko, i ukrywając się o ile możności w cieniu, minął więcej uczęszczane ulice, a znalazłszy się w miejscu zupełnie pustem, wyciągnął drżącą ręką rewolwer z kieszeni.

A jednak zatrzymał się w miejscu prawdziwie rozkosznem, oświeconem łagodnem światłem księżyca. Nad głową jego kołysały się palmy, drzewa pomarańczowe rozsiewały woń dokoła, a u stóp jego szkliniły się błękitne fale morza Śródziemnego.

W takiem to zachwycającem ustroniu, człowiek shańbiony, spodlony, miotany rozpaczą, zamierza dla uchronienia się od zniesławiającej ale słusznej kary, popełnić jeszcze cięższy występek, i pozostawić na swem nazwisku niezatartą plamę. — Straszna zbrodnia ma być popełnioną w tem rozkosznem miejscu, gdzie cudna woń napełnia powietrze, gdzie wypogodzone niebo zdaje się uśmiechać do ziemi. — Godfred Seaforth chce sam sobie wymierzyć sprawiedliwość, i śmiercią nikczemną, zakończyć nikczemne swe życie.

XXVI.

Przerażająca wiadomość.

Był to śliczny poranek niedzielny. Estera skończyła właśnie czytać modlitwy anglikańskiego kościoła, a córki jej zaczęły śpiewać pieśń nabożną,

przypominającą znikomość życia ludzkiego. Jakieś smutne przeczucia opanowały znów Esterę, i wpadła w smutne zamyślenie, z którego ocuciło ją dopiero skrzypnięcie otwierających się za nią drzwi, i radosny okrzyk Oliwii. Odwróciła się i ujrzała Kolina Fraser.

Zdawał się bardzo wzruszony, i jakkolwiek uścisnął z uczuciem rękę Oliwii, wzrok jego był poważny i smutny.

— Niech pani każe oddalić się córkom: muszę pomówić z panią na osobności, rzekł zwracając się do Estery, a w oczach jego było coś zapowiadającego nieszczęście. Zaledwie też córki wyszły, Estera zawołała chwytając rękę Kolina:

— Przychodzisz uwiadomić mnie że męża mego spotkało jakieś nieszczęście!

Kolin odkrył jej wtenczas wolno, ostrożnie, straszną prawdę.

Sprawdziły się więc ponure przeczucia nieszczęśliwej kobiety! Kara przeszła nawet najsroższe jej obawy. Estera nie przypuszczała nigdy aby mąż jej mógł dopuścić się podobnej zbrodni! Wszak trzeba nie mieć sumienia i stracić wszelkie poczucie moralności, aby się tak buntować przeciwko swemu Stwórcy i nie cofnąć się przed myślą przekazania dzieciom dziedzictwa wstydu i hańby!

W parę godzin później Estera zrozpaczona, upadająca pod brzemieniem boleści jechała z Kolinem do Monako. Nie mogła wyrzec się jednak zupełnie nadziei że Godfred jakkolwiek śmiertelnie raniony jeszcze żyje, i prosiła Boga gorąco, aby mu udzielił przed śmiercią choć chwilkę szczerego żalu; aby myśl że stanie wkrótce przed sądem Boga, przeistoczyła jego serce.

Wszak tak straszny upadek tak silne wstrząśnienie powinno rozbudzić sumienie grzesznika i natchnąć go żalem za popełnione winy.

Na stacyi w Monte-Carlo, nasi podróżni zastali posłańca który oddał pani Seaforth list od doktora, donoszący że ranny jeszcze żyje i oczekuje jej niecierpliwie. Estera pobiegła natychmiast do hotelu.

— Ciągle pyta się o panią i mówi o pani, rzekł doktór podając rękę nieszczęśliwej kobiecie; wprowadził ją do pokoju umierającego i pozostawił z nim samą.

XXVII.

Mąż i żona.

Estera zrozumiała że nie może nawet łudzić się nadzieją, skoro tylko spojrzała na męża, z którego ust spieczonych gorączką wysuwały się słowa bez związku, a twarz była już sinobladą. Hymn boleści śpiewany przez jej córki dziś rano, zabrzmiał znów w jej uszach: myślała o znikomości tego życia, które Pismo Święte przyrównywa do drzewa skazanego na uschnięcie, i zdawało jej się teraz że śpiew jej dzieci rozlegał się w powietrzu jak dzwon pogrzebowy zwiastujący śmierć ich ojca.

Biedna kobieta nie skarżyła się jednak i nie szemrała; wiedziała że prawa Boże są niewzruszone, i że ten kto je przekracza, ściąga na siebie sprawiedliwy gniew Najwyższego Sędziego. Godfred musiał więc znosić skutki zbrodniczego swego życia, a ponieważ zapomniał o Bogu i nie troszczył się o Jego łaskę, spadał co raz niżej, aż w końcu zbrodniczą ręką przeciął pasmo dni swoich!

Pochylona nad swym nieszczęśliwym mężem Estera, słyszała że wśród gorączkowego majaczenia wymawiał często jej imię. Mówił coś o pierwszych miesiącach ich związku, o dniach poprzedzających urodzenie ich syna; potem gdy odzyskiwał trochę przytomności, zwracał się do świeższych wypadków i do tragicznego ich zakończenia; ale te ostatnie wspomnienia napełniały go jak widać strasznym niepokojem, bo chciał zrywać się z łóżka i przywoływał na pomoc Esterę.

— Czemu ona nie przychodzi? wołał. Nie ma czasu do stracenia! Ale czy przyjdzie? Czy zechce widzieć takiego jak ja nędznika?

— Godfredzie! jestem przy tobie, odpowiedziała Estera łagodnie.

— Dźwięk jej głosu zdawał się przywracać mu przytomność, i wołał znów z rozpaczą:

— Tak, jestem zbrodniarzem zgubionym na zawsze, ratuj mnie! ratuj!

Estera pochylona nad konającym wymówiła wolno, wyraźnie tę tak pocieszającą obietnicę dla żałujących grzeszników: I choćby grzechy wasze były czerwone jak szkarłat, ja uczynię je białemi jak śnieg.

— Jestem przy tobie, i nie opuszczę cię, Godfredzie, powtarzała następnie nieszczęśliwa kobieta.

— Estero! mówił znów wyciągając do niej rękę; czy to prawda że nie odepchnęłaś od siebie takiego jak ja zbrodniarza? Byłaś zawsze aniołem mego życia, a ja uczyniłem cię tak nieszczęśliwą. Czy możesz kochać mnie jeszcze? Jestem zgubiony na zawsze! ratuj mnie, zaklinam cię! wołał rzucając się rozpaczliwie, a zimny pot spływał mu z czoła. Ty, któıa byłaś zawsze cnotliwą, módl się za mnie, a Bóg cię wysłucha!

A gdy Estera przekładała mu że przecenia jej zasługi, i zachęcała do wzbudzenia w sobie szczerego żalu za grzechy, odezwał się znowu:

— Nie, nie, ty zawsze byłaś prawdziwym aniołem; wszakże przez tyle lat miałem tego dowody. Potem ponawiał kilka razy zapewnienie, że pomimo swego występnego życia, nie przestał wierzyć w Boga i nie stracił zupełnie wszelkich uczuć religijnych.

Łagodna i tkliwa małżonka przedstawiała mu prawdziwy wzór cnoty, i przykład jej nie mógł pozostać dla niego zupełnie bezskutecznym.

Estera rzuciła chleb na powierzchnię wody, i stosownie do obietnicy, znalazła go po dniach wielu. Dla tego też upadła na kolana z uczuciem niewysłowionej wdzięczności, i przesłała do nieba dziękczynną modlitwę.

XXVIII.

Wyznanie.

Estera czuwała przez całą noc przy łożu męża, starając się uspokoić go i pocieszyć. Znać było że dręczy go jeszcze jakiś wewnętrzny niepokój, że ma na sumieniu jakiś ciężar, od którego żadne słowa pociechy uwolnić go nie mogą. Trudno było domyśleć się czy to osłabienie fizyczne czy też słabość charakteru powstrzymuje go od jakiegoś nasuwającego mu się na usta wyznania. Dopiero gdy już świtać zaczęło przywołał do siebie żonę.

— Estero, odezwał się gasnącym już głosem, muszę cię jeszcze błagać o litość zanim cię opuszczę nazawsze.

— To już niepotrzebne, odpowiedziała z czułością, przebaczyłam ci wszystko, Godfredzie.

— Bo jeszcze nie wiesz o wszystkiem, szepnął; ale nie mógłbym umrzeć spokojnie gdybym ci nie wyznał tego co mi tak strasznie cięży na sumieniu. Muszę powiedzieć ci wszystko.

— A więc mów; powiedz co cię tak niepokoi, rzekła Estera.

— Przybliż się do mnie; bliżej jeszcze, rzekł umierający, i powtórz jeszcze że mi przebaczysz... że przebaczysz mi nawet gdy się dowiesz o wszystkiem.. Tak, przyrzecz mi że nie ucieknięsz ode mnie, że przed skonaniem otrzymam od ciebie pocałunek przebaczenia i pokoju.

— Tak, bez wątpienia! uspokój się tylko.

Chory uniósł głowę z największem wysileniem i zaczął coś szeptać przyłożywszy prawie usta do ucha żony.

W miarę jak mówił twarz Estery bladła i przybierała co raz jawniejszy wyraz wstrętu i przerażenia; potem wyprostowała się nagle, odtrąciła rękę którą mąż wyciągał do niej, i odskoczywszy na drugi koniec pokoju, stała tam nieruchoma jak posąg.

— Estero! Estero! jęknął umierający, przebacz mi, obiecałaś że mi przebaczysz.

— Niepodobna! nie mogę, odpowiedziała głuchym głosem.

Nieszczęśliwa kobieta myślała w tej chwili o szlachetnem i zaledwie rozkwitającem życiu, zniesławionem niewinnie, o zaszczytnej i świetnej przyszłości zniweczonej nagle. I to wszystko dla uchronienia od hańby fałszerza, szulera, który w końcu targnął się na swe życie.

— Niech ci Bóg przebaczy, rzekła nakoniec. On jeden tylko może to uczynić.

Tak, masz słuszność, biedna Estero, ale oddalając się ze wstrętem od umierającego, pozbawisz go ostatniej iskierki nadziei. Zwątpi o miłosierdziu Bożem jeźli ty odmówisz mu przebaczenia.

Takie to uwagi niepokoiły nieszczęśliwą kobietę, a jednocześnie nasuwało jej się na myśl wzniosłe poświęcenie syna. O! ileż on musiał przecierpieć! jakże szlachetną, wzniosłą posiada duszę! Ale czy poświęcenie jego ma być daremnem, i czy ten ojciec dla którego zrobił tak wielką ofiarę, ma umrzeć nie otrzymawszy przebaczenia? Nie, to być nie może!

Po kliku minutach ciężkiej wewnętrznej walki, Estera uklękła znów przy łóżku i zawołała ukrywając w dłoniach twarz zalaną łzami:

— Ah! Godfredzie, czy to być może, abyś popełnił taką...

Nie dokończyła. Walka skończyła się, poczucie obowiązku przezwyciężyło wszystkie inne uczucia; Estera uścisnęła rękę męża i na czole jego złożyła pocałunek.

— Estero! szepnął chory, przebaczyłaś mi przez miłość dla naszego syna.

Były to ostatnie słowa Godfreda Seaforth;—głowa opadła mu na poduszki i skonał.

XXIX.

Rocznica urodzin.

Nadszedł nareszcie dzień tak niecierpliwie oczekiwany przez lorda Seaforth, dzień, w którym Godfred kończył lat dwadzieścia pięć.

Wszystko już było przygotowane, i zanim słońce zajdzie, lord Harold podpisze własnoręcznie akt wyzuwający Godfreda z wszelkich praw do spadku po nim, a przenoszący je na Joannę, która od tej chwili stanie się najbogatszą dziedziczką w Anglii.

Lord Seaforth siedzi zamyślony w bibliotece, jednak za każdem poruszeniem córki widocznie wzruszonej i niespokojnej, zwraca na nią badawcze spojrzenie.

Tak, jest to dzień w którym Harold spodziewał się odebrać nagrodę za swą pracę i trudy, ale nie jest to dla niego dzień radosny, gdyż pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołał zapomnieć o synowcu.

Co on robi? co się z nim stało? zadaje sobie często w myśli pytanie lord Seaforth, ale jakkolwiek łatwo byłoby mu rozstrzygnąć je, bo notaryusz zajmujący się jego interesami, wie gdzie się Godfred obraca i czem się zajmuje, duma nie dozwala Haroldowi okazać że go to jeszcze obchodzi; milczy więc uparcie pomimo że go to dręczy i niepokoi, pomimo że czuje to sam że zawsze kocha Godfreda.

Patrzył czas jakiś na córkę, a potem rzekł usiłując mówić spokojnie:

— Wiesz zapewnie, Joanno, że od dziś będziesz jedną z najbogatszych panien w Anglii. Mamy dziś dwudziesty szósty stycznia, i na mocy umowy zawartej między mną i moim synowcem, cały spadek po Seafortach przechodzi na ciebie.

Twarz Joanny zapłonęła żywym rumieńcem, spuściła oczy i zacisnęła ręce; zrozumiała dobrze znaczenie tych słów i opanowało ją najżywsze oburzenie. Ale ojciec zrozumiał mylnie jej wzruszenie, sądził że ugina się pod ciężarem szczęścia spadającego na nią tak niespodziewanie. Dla tego też nie przerywając rozmowy, mówił jakie formalności trzeba było jeszcze dopełnić, następnie dodał że nie potrzebuje się obawiać zbyt wielkiej z tego powodu odpowiedzialności, ponieważ spadnie ona głównie na tego komu odda swą rękę, a nakoniec nadmienił że już znalazł odpowiednią dla niej partyę.

Joanna słuchała ojca w milczeniu, a gdy przestał mówić, odpowiedziała spokojnym i pewnym głosem:

— Nie pójdę nigdy za mąż, mój ojcze.

Lord Seaforth spojrzał na nią z wyrazem najżywszego zadziwienia.

— Nie chcesz pójść wcale zamąż! a to dla czego? zapytał.

Joanna nie dała żadnej odpowiedzi na to pytanie, a zaniepokojony tem ojciec utkwił w nią wzrok badawczy, i teraz dopiero gdy się w nią tak wpatrywał, uderzyło go podobieństwo jej oczu z jego własnemi oczami, z oczami Godfreda i wszystkich w ogóle Seaforth'ów.

Spostrzegł po raz pierwszy że Joanna pod każdym względem jest nieodrodną jego córką, a zatem że musiała posiadać równie niezłomną wolę jak jego własna.

— Jesteś jeszcze bardzo młoda, odpowiedział wzruszony i niespokojny, a wszystkie młode panienki mówią tak samo. Masz dopiero ośmnaście lat i możesz jeszcze zmienić zdanie.

Joanna milczała ciągle, a lord Seaforth widząc że teraz naprożno starałby się ją przekonać, mówił dalej:

— Niech i tak będzie! przypuśćmy że nie pójdziesz nigdy zamąż, to i w takim razie postanowienie moje pozostaje niezmiennem; dziś prawa do spadku po Seaforth'ach przechodzą na ciebie, i stajesz się jedną z najznakomitszych i najbogatszych dziedziczek w całej Anglii.

Joanna wstrząsnęła przecząco głową i odpowiedziała stłumionym głosem:

— Wolno ci, mój ojcze, przekazać mi Seaforth, ale i mnie także wolno go będzie zwrócić.

— Zwrócić! komu? zawołał lord zdumiony.

— Temu, w którego ręce przejść powinien, Godfredowi Seaforth, twemu, ojcze, synowcowi i prawnemu spadkobiercy, odpowiedziała z mocą Joanna, zwracając na ojca pełne szlachetnego zapału spojrzenie.

Z całej postawy Joanny łatwo było poznać że staje w obronie człowieka któremu oddała swe serce. Przeczuł to lord Seaforth, i zwracając się myślą w przeszłość, przypomniał sobie swoje własne dzieje, przypomniał sobie jak on kochał kiedyś, i domyślił się z tego jak silnem być musi uczucie jego córki. Myśl, że Jonna, jego jedyne dziecię, oddała tak niebacznie serce człowiekowi zupełnie jej niegodnemu, przerażała go do najwyższego stopnia. Prócz tego zbudziło się w nim jeszcze głębokie współczucie dla tej córki tak długo przez niego zaniedbywanej; chciałby ją pocieszyć, ale jakim sposobem? Jak wyciągnąć do niej rękę przez tę otchłań chłodu i nieufności którą przeszłość wyryła między nimi?

— Ah! moje biedne dziecko, moja nieszczęśliwa córko, niech cię Bóg ratuje, szepnął, bo ja nic dla ciebie uczynić nie mogę! Po tych słowach upadł na fotel, jakby nie mógł dłużej utrzymać się na nogach. — Jakiś fatalizm ciąży nade mną, mówił do siebie; wszyscy których szczęścia tylko pragnąłem, Estera, Godfred, Joanna, odrzucają moje dobre chęci!

Miał słuszność; Estera odrzuciła zimno jego przywiązanie, pomimo że znajdowała się w zależnem i trudnem położeniu; Godfred jakkolwiek ubogi zupełnie, zrzekł się wszelkich pretensyi do spadku po nim, a teraz znów ta cicha i łagodna Joanna zamierzała iść za jego przykładem.

Jak ma wytłomaczyć sobie tak dziwne postępowanie, tę pogardę rzeczy które on cenił tak wysoko? Ale na cóż mogłyby się zdać najdłuższe rozmyślania nad tem przedmiotem, nie pozostaje mu już nic jak tylko spełnić swe postanowienie. Wstał aby zadzwonić na służącego i wydać rozkaz przywołania notaryusza.

Niepewny chód jego i nerwowe drżenie rąk sprawiło przykre wrażenie na Joannie wychodzącej z pokoju.

Prawie jednocześnie służący oddał lordowi Seaforth gazety. Joanna była jeszcze w przyległym pokoju, gdy usłyszała nagle taki łoskot jakby coś ciężkiego upadło na ziemię. Przejęta niepokojem wbiegła napowrót do biblioteki, i z przerażeniem spostrzegła ojca leżącego na podłodze i zupełnie pozbawionego przytomności.

Jonnna zaczęła wołać o ratunek, klęcząc przy ojcu którego naprożno usiłowała podnieść, i wtenczas spojrzała przypadkiem na gazetę którą trzymał jeszcze w kurczowo zaciśniętych palcach. Przeczytała nad pierwszym zaraz paragrafem: *Samobójstwo pana Godfreda Seaforth.*

XXX.

Gorzkie szyderstwo losu.

Wejdź cicho czytelniku do tego pokoju, w którym spoczywa na wspaniałym łożu dumny i samowolny lord Seaforth. Tak, zbliż się do niego cicho i nie urągaj się z jego smutnego losu.

Widzieliśmy tego pełnego pychy człowieka, jak płynął śmiało przez ocean życia, bez innej busoli nad swój własny rozum, a teraz cóż się z nim stało?

Podobny do okrętu z potrzaskanemi masztami, posuwa się ku wieczności bezsilny, popychany pędem wiatru.

Doktorzy zawezwani śpiesznie wydali już wyrok. Niestety! śmierć miłosierna nie uwolni lorda Seaforth od stokroć cięższego losu, gdyż prawdopodobnie będzie skazanym na to opłakane istnienie którego trudno już nazwać życiem, choć nie jest jeszcze śmiercią.

Oto człowiek, który uniesiony pychą, obrał sobie godło: Wystarczę sam sobie, leży teraz zupełnie bezwładny, pozbawiony mowy!

Jakież to gorzkie szyderstwo losu! Lord Seaforth upadł porażony potężną prawicą Boga, i musi uledz wyrokom Wyższej woli.

Joanna czuwa nad ojcem z najczulszą troskliwością. Domyśliła się zaraz że ojciec sądził że to nieszczęsne ogłoszenie o samobójstwie dotycze jego synowca, a nie brata noszącego toż samo imię. Naprożno jednak starała się wyprowadzić go z błędu, nie był w stanie zrozumieć co do niego mówiła.

Siedząc przy łożu ojca, Joanna pociesza się nadzieją że tajemnica jej kuzyna Godfreda wyjaśni się kiedyś, i że ojciec jej przyzna z radością iż synowiec jego jest godnym zostać jego spadkobiercą.

XXXI.

W Lincoln.

W małym pokoiku skromnego domku w Lincoln znajdujemy znów innego chorego; jest to młody człowiek zaledwie zaczynający przychodzić do zdrowia.

Gęsta mgła unosi się w powietrzu, a wszystkie dachy pokryte są śniegiem. Słaby płomień węgli tlących się na kominku, nie może ani rozweselić ani ogrzać pokoju chorego, który zaczął właśnie czytać książkę, gdy zadzwoniono do drzwi i ubogo ubrana kobieta przyszła oznajmić że doktór przyszedł.

— Proś go, niech wejdzie, odpowiedział Godfred; gdyż był to on, jak domyślili się już tego pewno nasi czytelnicy.

— Ale pan nie wie zapewnie, odezwała się znów służąca, że w tych dniach jakiś młody pastor dowiadywał się kilka razy o pana.

— Pastor! powtórzył Godfred zadziwiony. Czy byłem tak niebezpiecznie chory?

— Jakże się pan dziś miewa? zapytał wesoło wchodzący doktor, nie dozwalając odpowiedzieć służącej.

— Zdaje mi się że daleko lepiej, odpowiedział Godfred podając lekarzowi wychudłą rękę. Ale powiedz mi, kochany doktorze, bo nie mogę sobie tego przypomnieć, jak dawno zachorowałem, oraz kiedy będę mógł rozpocząć znów moje zajęcia?

— Nie tak prędko jeszcze będzie można pomyśleć o tem, odpowiedział doktor; ciało i umysł pana potrzebują dłuższego wypoczynku, gdyż przeszedłeś ciężką gorączkę, spowodowaną zbytkiem pracy, i jeżeli chcesz odzyskać zdrowie, musisz wyrzec się na czas jakiś wszelkiego nużącego zajęcia. Miałbym nawet ochotę popalić te wszystkie książki i papiery prawne, tem więcej, dodał patrząc na wygasające węgle na ognisku, że wartoby rozniecić ogień na kominku.—mróz dziś bardzo silny. Mówiąc to zbliżył się do kominka chcąc poprawić ogień, i zobaczył w nim już tylko garstkę żarzącego się popiołu.

— Widzi pan, rzekł Godfred uśmiechając się, że my, początkujący adwokaci, nie mamy czasu chorować! Jak tylko nie ma honoraryów, to nie ma i ognia. Każdy tydzień przepędzony w łóżku, zmniejsza nasz budżet i wyczerpuje zapasy węgla.

— Pomimo to, trzeba koniecznie odpocząć jeszcze czas jakiś, odpowiedział doktor żegnając pacyenta; tem łatwiej następnie bedzie pan mógł wynagrodzić sobie czas stracony. Proszę pamiętać także że i czytać panu nie wolno, dodał zwracając podejrzliwe spojrzenie na poważnej powierzchowności księgę leżącą przy Godfredzie.

(D. n.)

Opis do N-ru 52.

N. 1—3. Toalety spacerowe i do ślizgawki.

N. 1. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami.

Płaszczyk z grubego dubeltowego kortu, obłożony był pluszem czarnym, dolna plisa miała 22, wzdłuż przodu 14 cent. szerokości. Kołnierzyk pluszowy związany kokardą ze wstążki morowej 6 cent. szerokiej, której końce ozdobione są kwastami 15 cent. długiemi z jedwabiu i szneli. Rękawy szerokie chociaż na zimę niedogodne lecz strojne, bo podszyte pluszem kolorowym.

N. 2. Ubranie z długą kamizelką.

Do spódnicy ogarnirowanej 22 cent. szerokiem plisowaniem, na które zachodzą proste zęby 25 cent. trzymające, z przodu w tunikową draperyę upiętej, z tyłu dopełnionej prostym, bufiasto podpiętym brytem, dodane jest krótkie paletocikowe vêtement z szalowym kołnierzem i rozchodzącemi się do dołu przodami, z pod których wygląda długa, na dwa rzędy guzików zapięta kamizelka. Spódnicę i vêtement robi się z ciepłych zimowych materyałów w rodzaju sukna, a kamizelkę i mankiety wystające z pod rękawów z aksamitu, pluszu lub sukna w odmiennym kolorze, albo nawet z żółtawej miękkiej skóry.

N. 3, 30, 31 i 38. Ubranie odrobione z trojakiego materyału.

Ryc. 3 i 38 przedstawia ubranie odrobione z trzech rodzai materyału, z mory antique, aksamitu i rodzaju sukienka zimowego w kolorze ciemno-granatowym. Sute zagarnirowanie spódnicy składa się z pięciu 17 cent. szerokich wolantów morowych, w górze na 6 cent. przemarszczanych, z których dolny zachodzi na skośną aksamitną falbanę. Krótka z boków i z przodu otwarta draperya tunikowa, ułożona z dwóch trójkątów mających w prostych brzegach po 80 cent. długości, trochę tylko zakrywa ten piękny garnirunek. Draperyę przyszywa się na spódnicy brzegiem skośnym, z boków 15, z przodu 25 c. odległe od paska, a zbywającą szerokość zebraną z przodu w fałdy, daje się z jednej strony pod spód, z drugiej w węzeł przepięty z wierzchu na szarfowem upięciu, zachodzącem w górze 10 cent. na baskinę stanika, a u dołu na draperyę. To ostatnie układa się ze skośnego 35 c. szerokiego aksamitu, a z tyłu dopełnia się 25 c. szeroką szarfą morową, pod którą także przyszyte są dwa proste, 58 cent. szerokie a 107 długie bryty, lekko podpiętej draperyi tylnej, która ułożona jest w ten sposób, iż w części przykrywa jeden koniec szarfy. Dla osób szczupłych korzystne są wązkie bufki dodane na rękawach.

N. 6—10. Sznurek kordonkowy do zegarka.

Chociaż sznureczek taki w każdym razie służyć może, zalecamy go jednak szczególnie do żałoby, przy której nie można używać złota i innych metali, a nawet świecący dżet jest niewłaściwy. Robi go się z grubego czarnego kordonku zacząwszy dwoma oczkami łańcuszka, w pierwsze z tych oczek zrobić jedne oczko ścisłe, odwrócić robotę i w dolny węzeł tego ścisłego oczka znów jedne oczko ścisłe. Następnie i w całym ciągu roboty, widzimy z obydwóch brzegów sznureczka po dwa węzły jeden za drugim, przez które ciągle odwracając robotę, trzeba od środka pentelkę przeciągnąć i jedne oczko ścisłe zrobić, jak to wskazuje powiększona próbka N. 9. Gdy odrobiemy tym sposobem 6 cent. sznureczka, trzeba nawlec pierwszą kulkę, które następnie dodaje się co 3—4 cent. przez całą długość 36 cent. wynoszącą. Kuleczki mające $2^1/_2$ cent. obwodu, obrabia się oczkami ścisłemi, branemi zawsze za całe oczka poprzedzającego rzędu, zacząwszy od środka i przybierając stopniowo w koło. Gdy się otrzyma okrąg dochodzący środka kulki, odwraca się go lewą stroną do wierzchu i obrabia dalej na foremce, gubiąc w takim stosunku jak się przybierało. Kulki można zrobić z dwóch, odpowiedniej wielkości, wypukłych guziczków, złożonych do siebie stroną płaską i spojonych nitką kilka razy przez środek przeciągniętą. Do skończonego i do podłużnej baryłki przymocowanego sznureczka, dodaje się breloki z cienkiego sznureczka, przez wierzch baryłki przymocowanego a w końcach kulkami małemi ozdobionego. Cienki sznureczek robi się łańcuszkiem dwoma nitkami jak na ryc. 8, albo zwykły łańcuszek obrabia się drugi raz sposobem wskazanym na ryc. 7. Długość cienkich sznureczków do pierwszej kulki wynosi 3 cent., odstęp między kulkami 1 cent. Do drugiego końca sznurka przymocowany jest haczyk do zaczepienia zegarka.

N. 11. Haftowany koniec do krawatki.

Na tle z gęstej żółtawej gazy, deseń robiony był pelą oliwkową w trzech cieniach, różową i nitką złotą, trójzębny, środkowy liść cieniem środkowym, boczne figury najciemniejszym, a środkowa arabeska najjaśniejszym oliwkowym, a brzegi obwiedzione nitką złotą. Ząbki robione średnim cieniem oliwkowym, żyłki środkowe podwójne jasno-oliwkową pelą i nitką złotą, a pojedyncze kolorem różowym.



N. 1—3. Ubrania spacerowe i do ślizgania.
N. 1. Dolman obłożony pluszem. N. 2. Suknia z kamizelką. N. 3. Suknia z trojakiego materyału. Patrz ryc. 30—31 i 38.

N. 12. Chusteczka z krepowych haftowanych wolantów.

Na foremce tiulowej mającej 16 cent. tylnej a 14 przedniej szerokości, 72 górnego a 100 dolnego obwodu, 9 cent. szerokie falbanki krepowe, suto haftowane jedwabiami w maszynie, naszyte były raz u dołu a dwa razy na foremce, czwarta falbana przyszyta przy wykroju szyi i jak kołnierz wywinięta. Do zapięcia chusteczki służy kokarda ze wstążki i gałązka kwiatów.

N. 13. Chusteczka z surah i koronki.

Prosty kawałek blado-różowego surah, 13 cent. szeroki a 60 długi marszczy się w górze do 28 cent. objętości i wszywa do paska z surah $3^1/_2$ c. szerokiego a 39 długiego; 2 cent. od góry przemarszcza się jeszcze 3 razy w odstępach $^1/_2$ cent. Blado-różowa 10 cent. szeroka koronka hiszpańska w rogach skośnie zaszyta, przyszyta jest gładko u dołu, z przodu i na pasku wywinięta, oraz naszyta wachlarzowo na dwóch kawałkach surah, 6 cent. szerokich a 30 długich, stanowi żabot zakończony u dołu półkolem z koronki przepinanej kokardami.

N. 14—17 i ryc. 30—31 w N-rze 53. Dwie serwety haftowane ściegiem krzyżowym perskim.

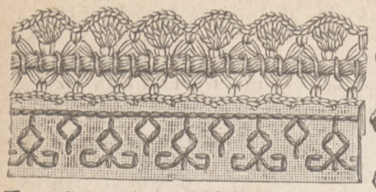
W N-rze 36 Tygodnika Mód podaliśmy próbki i dokładny opis ściegu perskiego, dziś więc powtarzać go nie potrzebujemy. Na ryc. 31 w N. 53 dajemy próbkę szlaczku krzyżowego, podług którego zmieniając ugrupowanie figur, ułożono dwa odmienne desenie do serwet ryc. 14 i 15, które robione były na płótnie kanwowem. Na r. 30 w N-rze 53 wskazujemy w jaki sposób deseń krzyżowy, ryc. 31, odrabia się ściegiem perskim, oraz dajemy naturalną grubość płótna i wielkość ściegów. Model do ryc. 14 mający oprócz frendzli 47 cent. długości a 26 szerokości, robiony był bawełną turecką ponsową, a obwiedzenie konturów kordonkiem czarnym, ściegiem podłużnym na dwie strony. Na kwadratowej serwetce ryc. 15, służącej do przykrycia drewnianego postumentu pod kubeł z lodem, odrobiony jest szlak w koło. Ryc. 17 przedstawia kubeł do lodu z cuivre poli.

N. 18. Ubranie głowy złożone z pióra blado-żółtego, gałązki liści pluszowych koloru ciemno-bronzowego z cieniem ponsowym i z kolibra.

N. 19. Bukiecik do głowy z róż, rezedy i liści pluszowych do cieniu.

N. 20—21. Krótka suknia balowa z pekinu w morowe pasy i z koronek.

Dziesięć lekko nadmarszczonych, 8 c. szerokich falban koronkowych naszyte jest w ząb z przodu, a z tyłu prosto na spódnicy krótkiej atłasowej, ogarnirowanej u dołu trzema plisowanemi, jedna na drugą zachodzącemi, nierównej szerokości falbankami. Na draperyę zwierzchnią z przodu na sposób panier ułożoną, trzeba czterech prostych brytów pekinu w pasy morowe, 150 cent. długich, które w górze fałduje się drobno, przeszywa 7 cent. niżej i przyszywa w pasie na spódnicy. Przednie bryty draperyi zbiera się do tyłu i przypina na szwach bocznych sposobem wskazanym na r. 21, z tyłu bryty są w lekkie bufy podpięte. Do ryc. 20 dany stanik z przodu sznurowany, okrągło w górze podcięty, 3 razy ogarnirowany koronką, z której są także zrobione krótkie rękąwki, i przystrojony kokardami z wstążki w atłasie. U dołu z przodu i z tyłu dodany bardzo długi bawet. Ryc. 21 przedstawia stanik gorsecikowy z długim bawetem, w górze bez ramiączek, raz koronką oszyty i dopełniony szmizetką chusteczkową, ułożoną z jedwabnego tiulu i koronki, która zachodzi niżej na ramiona i tworzy zarazem małe, krótkie rękawki. Z jednej strony na ramieniu i z przodu sukni między koronką, przypięte bukieciki kwiatów albo kokar-



N. 4. Szlaczek i ząbki do ryc. 40.



N. 6. Sznureczek szydełkowy do zegarka. Patrz r. 7-10.



N. 5. Szlaczek i ząbki do ryc. 40.

dy jak na ryc. 20. Skromniejsze a jednak ładne i świeże ubranie odrobić można z gazy lub tarlatanu, zastępując koronkę falbankami plisowanemi lub w kontrafałdy układanemi, ze stanikiem i draperyą z atłasu.

N. 22 i ryc. 21—22 w N-rze 53. Dywanik do powozu. Robota szydełkowa i na drutach.

Ciepły dywanik z włóczki w dwóch cieniach, robi się ściegiem tunetańskim supełkowym, podług próbki podanej na ryc. 22 w N. 53, oddzielnie tło i szlaki. Pod woreczki do wsunięcia nóg daje się jeszcze podszewkę, robioną na drutach ściegiem pentelkowym, podług próbki r. 21. W robocie szydełkowej supełki formują się przy przerabianiu rzędów napowrót ściegiem łańcuszkowym, w którym co dwa oczka zwyczajnie robione dodaje się trzy oczka powietrzne. Supełki stają się wyraźne dopiero po nabraniu na szydełko następnego rzędu; a w ciągu roboty zawsze mijać się powinny. Robotę zaczyna się włóczką jaśniejszą na oczek 78 od szlaku poprzecznego, któren liczy jedne obrobienie gładkie i 15 supełkowych. W 4-tem supełkowem obrobieniu zaczynają się gładkie okrągłe pola, na których następnie umieszcza się kulki strzyżone. Gładkie pola w których nie daje się supełków, liczą 9 rzędów wysokości, zaczynają się w odstępie 6 oczek od brzega, każde 4-ma oczkami łańcuszkowemi; między polami na tło szydełkowe zostawia się oczek 8. W następnych 4-ch rzędach pola rozszerzają się o jedno oko z każdej strony, w 5-tem liczą po 12 oczek, a w czterech dalszych zmniejszają stopniowo do 4. Szlaki podłużne zaczynają się na oczek 18, a pola gładkie powtarzają się w odstępach 3 rzędów; długość wynosi 93 rzędy.

Tło z włóczki ciemniejszej zaczyna się także od poprzecznego brzegu na oczek 43; zrobić 5 całych rzędow supełkowych, w 6-tym zacząć gładką robotę pod worki na nogi. W 6-tem obrobieniu daje się 10 supełków, w następnych 12 liczba ich zmniejsza się stopniowo od 7 do 1, dalej 10 rzędow z jednym mijającym się supełkiem, poczem liczba ich powiększa się stopniowp do 10. Sześć całych rzędów supełkowych dopełnia miary połowy dywanika, drugą połowę robi się w odwrotnym porządku. Worki robi się wzdłuż zacząwszy na oczek 23, w następnych 25 rzędach które stanowią środek, przybiera się stopniowo z jednej strony do oczek 34, a dalej w równej liczbie obrobień gubi do oczek 23, tak, ażeby brzeg górny pozostał prosty. Pod każden worek robi się sposobem wskazanym na próbce ryc. 21 w N. 53, dwie części podszewki, zupełnie podług wierzchu dopasowane, zeszywa się obie części podszewki, z wierzchem w palcach i z boków zaokrąglonych, a tylko jedną w górnym brzegu. Spodnią część podszewki przyszywa się następnie mocno do dywanika, w miejscu robionem gładko. Brzeg górny oszyty trzema rzędami wązkiej nieprzecinanej frendzelki. Kulki i kwasty z włóczki ponsowej, niebieskiej i takiej jak dywanik. Brzegi dywanika obrobić oczkami ścisłemi i ząbkami z 8 słupków branych w dwa oczka ścisłe włóczką ciemniejszą, ząbki obrobić raz oczkami ścisłemi włóczką jaśniejszą. Dać pod dywanik podszewkę z grubego płótna.

N. 7. Wykonanie sznureczka szydełkowego, odpowiedniego do r. 6.



N. 11. Zakończenie do krawatki.

N. 8. Robota sznureczka cieńszego do breloczków do ryc. 6.



N. 12. Chusteczka z haftowanych wolantów.



N. 13. Chusteczka z materyi surah i koronki.



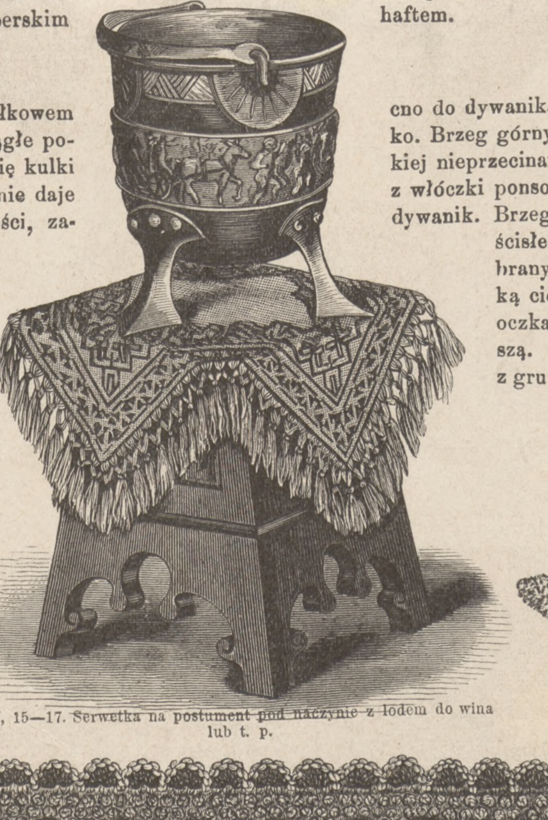
N. 9. Wykonanie sznurka do zegarka. Patrz ryc. 6.



N. 14. Serwetka podłużna z perskim haftem.



N. 10. Obrabianie kulek przy sznureczku do zegarka ryc. 6.



N. 15—17. Serwetka na postument pod naczynie z lodem do wina lub t. p.



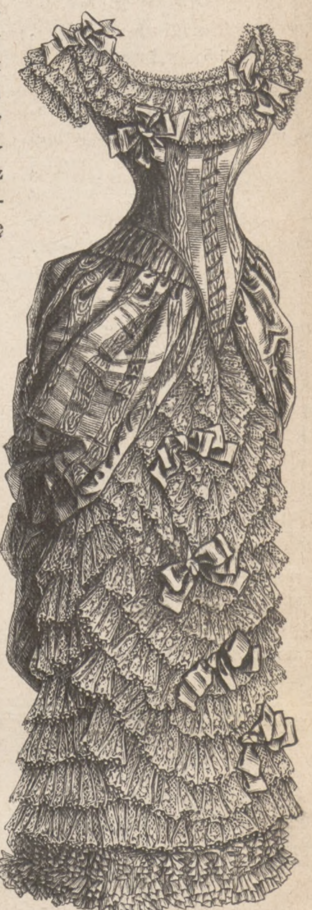
N. 20. Suknia krótka balowa. Patrz ryc. 21.



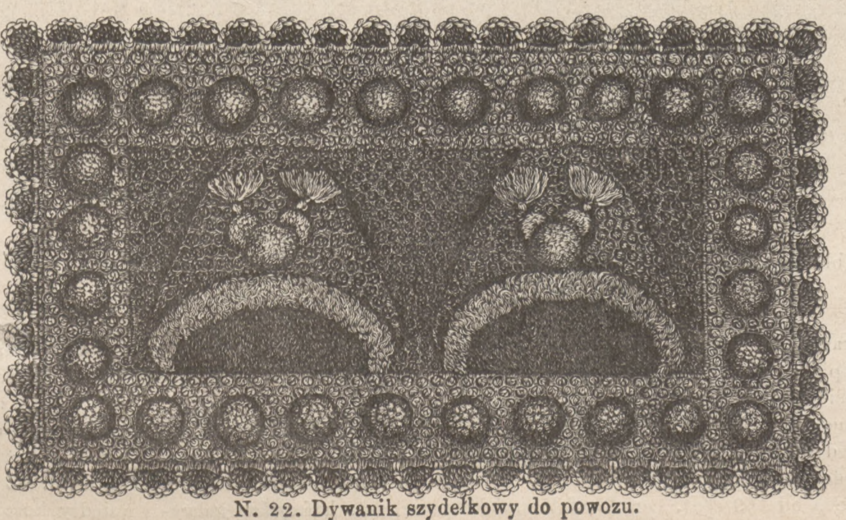
N. 18. Ubranko z ciemnych pluszowych liści, kolibra i pióra.



N. 19. Upięcie z ciemnych pluszowych kwiatów.



N. 21. Suknia krotka balowa.



N. 22. Dywanik szydełkowy do powozu.

N. 23. Pudełko na chustki od nosa.

Pudełko mające 16 c. długości i szerokości a 4 wysokości, wyklejone w środku atłasem, miało boki ozdobione dwoma falbankami z wstążki w atłasie, z których

zwierzchnią przykrywała do połowy koronka złota. Płaskie wieko z wierzchu trochę wypukło wysłane, ozdobione było skośnym $1\frac{1}{2}$ c. szerokim paskiem atłasu, oszytym wypustkami ze sznureczkiem i złotą koronką, któren dzielił je na dwa trójkąty. Jeden trójkąt pokryty był atłasem w bufki przemarszczanym, drugi gładkim ozdobionym aplikacyą ze złotej koronki; sznurek złoty. Na modelu atłas zwierzchni i wstążka były koloru vieil-or.


N. 24. Sukienka z szarfą dla małej dziewczynki.


N. 23. Kasetka na chustki do nosa.

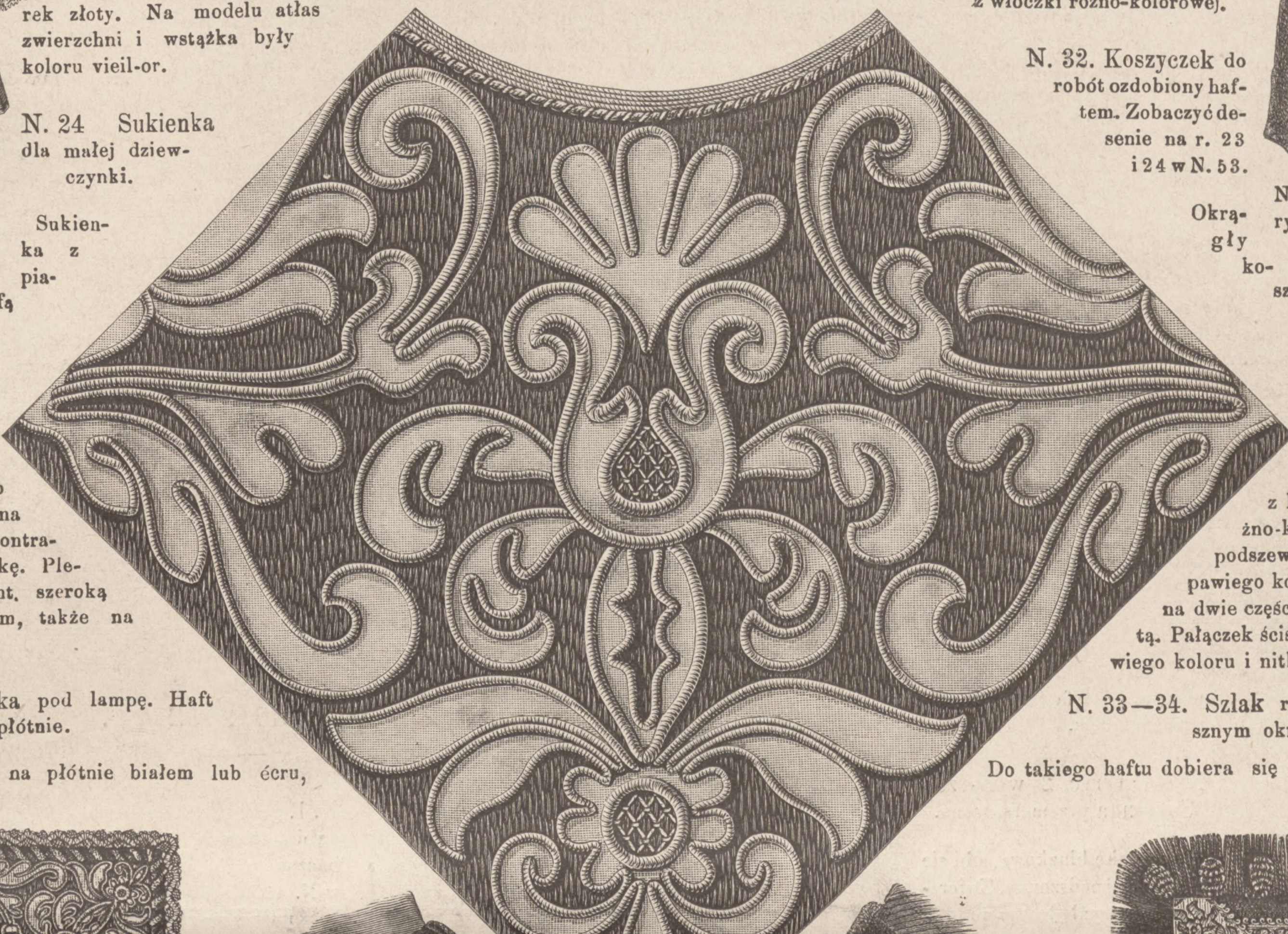

N. 25. Paletocik z pelerynką dla dzieci lat 2—4. Patrz ryc. 1 w N. 53.

N. 24 Sukienka dla małej dziewczynki.

Sukienka z piaskowego beżu z szarfą i wypustkami z atłasu ciemno-ponsowego, miała plecki gładkie na guziczki zapinane, a przody w 3 kontrafałdy zaszyte, luźno 10 cent. spuszczone, na 15 cent. długą w kontrafałdy ułożoną spódniczkę. Plecy zakończone 14 cent. szeroką falbanką z nagłówkiem, także na spódniczkę zachodzącą.

N. 26—28. Patarafka pod lampę. Haft na płótnie.

Deseń odrysowany na płótnie białem lub écru, pozostaje niezarobiony, a całe tło pokrywa haft robiony filozelą kolorową dwunitkową, ściegami podłużnemi, w których igłę kładzie się zawsze w środek, między dwie nitki poprzedzającego ściegu. Na ryc. 28 dajemy próbkę powiększoną takiej roboty, a na ryc. 26 czwartą część deseniu w naturalnej wielkości. Po wykończeniu tła oszywa się brzegi deseniu sznureczkiem białym gipiurowym, przyszywanym cienką nitką, ażeby szwy nie były widoczne. Jak widzimy na deseniu, sznureczek jest dwojakiej grubości. Litery w środku wyhaftować złotem; brzegi oszyć koronką i sznureczkiem sznelowym.

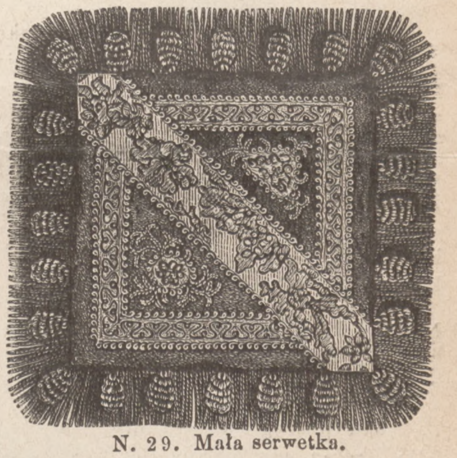

N. 26. Czwarta część szlaku do patarafki ryc. 27.


N. 30. Rękaw z przemarszczeniem.


N. 31. Rękaw z wykładem aksamitnym.


N. 27. Patarafka pod lampę. Patrz ryc. 26 i 28.


N. 32. Koszyczek do robót.


N. 29. Mała serwetka.

N. 29. Patarafka ozdobiona aplikacyą.

Patarafka trzymająca 23 c. w kwadrat, zrobiona była z dwóch trójkątów pluszu szafirowego i oliwkowego, złączonych skośnie przez środek szlaczkiem wyciętym z materyału meblowego, takież węższe szlaczki naszyte po brzegach cienkim pentelkowym sznureczkiem. Kontury deseniu oszywa się nitką złotą, ściegiem łańcuszkowym. Frendzla włóczkowa z kwastami z włóczki różno-kolorowej.

N. 32. Koszyczek do robót ozdobiony haftem. Zobaczyć desenie na r. 23 i 24 w N. 53.

Okrągły koszyczek pleciony z trzcinki bronzowej, z wierzchu ozdobiony był szlakiem haftowanym włóczką kolorową na welwecie blado-żółtym i torsadką frendzelkową z kwastami z włóczki różno-kolorowej, w środku miał podszewkę marszczoną z repsu pawiego koloru, i przedzielony byl na dwie części ścianką repsem pokrytą. Pałączek ściśle okręcony włóczką pawiego koloru i nitką złotą.

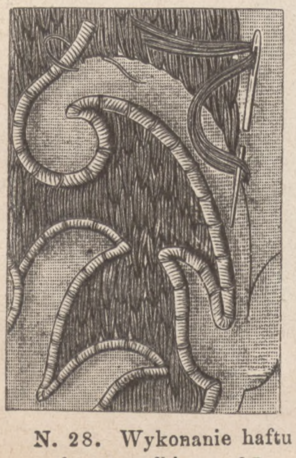
N. 33—34. Szlak robiony ściegiem pospiesznym okręcanym.

Do takiego haftu dobiera się desenie z niezbyt szerokiemi figurami, gdyż takie łatwiej jest zapełniać. Haft wykonywa się włóczkami, ściegiem pospiesznym, którego próbkę dajemy na ryc. 34, a któren daje się trochę skośnie przez wierzch, na podłożonej innej nitce włóczki. Kontury i żyłki dodaje się po zapełnieniu tła. Stosownie do rodzaju deseniu włóczkę dobiera się w dwóch lub więcej kolorach do cieniu. Model robiony był na pluszu czerwonawo-bronzowym, włóczką popielatą żółtawo-orzechową i niebieską do cieniu.

N. 35—37. Ubrania dla małych dziewczynek.

N. 35. Sukienka z fałdowaną spódniczką.

W kontrafałdy układany przód kraje się razem z gładkiemi pleckami, do gładkich plecków dodaje się przy dłu-


N. 28. Wykonanie haftu do patarafki ryc. 27.


N. 33. Szlak ściegiem luźnym. Patrz ryc. 34.


N. 34. Wyszycie ściegu luźnego do ryc. 33.

giej baskinie materyału na fałdy do spodu założone. Fałdowana spódniczka oszyta jest plisą atłasową, a na przyszyciu do stanika dane 3 pliski 2 cent. szerokie. Wykrój stanika i rękawy zdobi riusza przemarszczana.

N. 36. Sukienka ozdobiona haftowanemi pasami.

Jasna kaszmirowa sukienka formą princesse ozdobiona była szlakami haftowanemi ściegiem krzyżowym. Dwa szlaki dane były wzdłuż przodów przy zapięciu na guziki, a trzy wzdłuż pleców. Szarfa fałdowana i kokardy z atłasu.



N. 35. Sukienka z fałdowaniem.

N. 36. Sukienka z haftowanemi szlakami.

N. 37. Sukieneczka z przemarszczeniem. Patrz ryc. 2 w N-rze 53.



N. 38. Suknia z trojakiego materyału. Patrz ryc. 3.

N. 37 i ryc. 2 w N-rze 53. Sukienka przemarszczana.

Sukienkę bluzkową robi się na gładkiej podszewce. Zwierzchni materyał jest z przodu z tyłu suto przemarszczany cztery razy, w odstępach 12 c. od góry i od dołu, któren oszyty jest koronką, splisowany i przepasany szarfą z pod której 8 cent. luźno puszczony zachodzi na spódniczkę 14 cent. szeroką. Model sukienki zrobiony był z kaszmiru niebieskiego z szarfą, kołnierzem i mankietami z atłasu bordo.

N. 40—56. Meble do sypialnego pokoju dla lalki.

Ryc. 40—56 przedstawia meble do sypialnego pokoju dla lalki i różną bieliznę dla niej. Bielizna szyta takim sposobem jak dla osób żywych ozdobiona jest haftem kolorowym krzyżowym. Kołdra do przykrycia łóżka jest z kanwy białej jawa, ozdobiona haftem niebieskim krzyżowym do cieniu. Frendzla w kanwie siepana. Dywanik z ciemnej kanwy jawa ozdobiony różnokolorowym włóczkowym haftem krzyżowym. Do frendzli siepanej dodane nitki włóczkowe. Stoliczek nocny urządza się z dwóch przykryw od okrągłych tekturowych pudełek, połączonych prętem, boki stoliczka pokryte marszczonym muślinem lub kanwą kongresową na kolorowej podszewce. Wierzch pokryty gładko kanwą wyszytą krzyżykami i oszytą nicianą koronką. Puf robi się także z okrągłego, wysokiego pudełka, którego boki okrywa długa frendzla, a przykrywa jest wypukło wysłana watą i obita kolorowym atłasem. Z wierzchu zarzucona serwetka haftowana na atłasie. Przykrycie toalety takie jak stoliczka nocnego.



N. 40. Szafka na garderobę dla lalki.



N. 41—43. Poszewki i prześcieradła dla lalki.



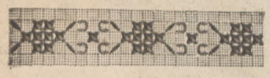
N. 44. Kołdra z przypiętem prześcieradłem, dla lalki.



N. 47—48. Ręczniki dla lalki.



N. 50—54. Umeblowanie pokoju sypialnego dla lalki.



N. 55. Szlaczek do r. 40.



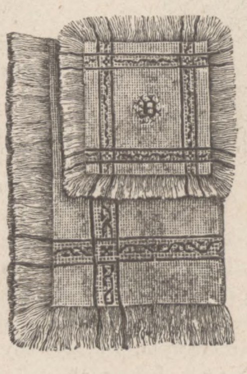
N. 39. Suknia z podwójną tuniką. Patrz r. 39 w N. 52 i ryc. 28.

Opis do N-ru 53.

N. 1. Paletocik z pelerynką dla dzieci lat 2—4. Zobaczyć plecy na ryc. 25 w N. 52. Krój podług r. 39 i 40 w N-rze 48.

Model był z żółtawo-białego, miękkiego, włochatego materyału, luźno bez boczków przykrojony, patki 20 c. długie, krajane razem z przodami zachodzą na plecki. Kieszonki proste mają 6 c. wysokości a 12 szerokości, mankiety 7 cent. wysokości. Pelerynka przyszyta do wykroju szyi kolistym 6 cent. szerokim kołnierzem, mająca 22 cent. przedniej a 20 tylnej długości, u dołu ogarnirowana była plisowaniem atłasowem 4 c. szerokiem i ozdobiona 5 c. szeroką wstążką w atłasie, przewleczoną przez nacięcia 3 c. długie, dawane w odstępach 5 c. z przodu związaną na kokardę, z tyłu drugą kokardą przepiętą. Guziki z konchy perłowej.

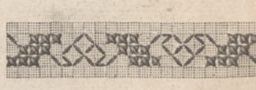
(D. n.)



N. 45-46. Obrus i serwetki dla lalki.



N. 49. Szarfa dla lalki.



N. 56. Szlaczek do r. 40.